CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK I. WARSZAWA, 29 MARCA 1936 R. NR. 8.

Adam Stebelski

Jesteśmy sobą

W r. 1927 Marszałek Piłsudski odbył w Genewie dłuższą rozmowę z Austinem Chamberlainem, wówczas jeszcze kierownikiem polityki zagranicznej W. Brytanji. Bezpośrednio po tej rozmowie angielski mąż stanu udzielił prasie wywiadu, w którym zwrócił uwagę opinji publicznej na dwa trafne, zdaniem jego, spostrzeżenia Marszałka natury ogólnej.

Pierwsze dotyczyło powszechnie przyjętej a nadmiernie zawiłej i nieszczerej metody dyplomatycznego działania, komplikującej i tak już zagmatwaną sytuację polityczną w Europie. W interesie ogólnym jest, aby metodę tę zarzucić i w sposób jasny formułować żywotne postulaty państw, a to celem wspólnego szukania punktów i dróg rzeczywistego ich zbliżenia.

Drugie dotyczyło zbyt uproszczonego pojmowania polityki poszczególnych państw. Nie jest ona, jak to sobie zwykle wyobrażamy, prostą, łączącą dwa mniej lub bardziej odległe punkty, czemś w rodzaju bitego traktu. Przypomina raczej koryto rzeki, wijącej się między wyniosłościami pobrzeża i w drodze do swego ujścia — które jest jej naturalnym celem — zmieniającego niejednokrotnie kierunek. Ktoby chciał płynąć niezmiennie po linji prostej, naraża się albo na rozbicie, albo na osadzenie na mieliźnie.

Spostrzeżenia te — zaznaczył Chamberlain — są rzeczywiście trafne i słuszne. A wypływają z nich wnioski o znaczeniu praktycznem, jak z każdej niewątpliwej prawdy.

Wnioski takie wyciągnął, jak wiemy, Marszałek Piłsudski, wyprzęgając politykę zagraniczną Polski z rydwanu bezskutecznej w praktyce a niepozbawionej dla nas bezpośrednich niebezpieczeństw i gorzkich upokorzeń akcji z b i o r o w e j obrony powersalskiego status quo. I to—zgodni jesteśmy co do tego wszyscy — nietylko dało Polsce właściwą pozycję w Europie, ale, co ważniejsza, pozwoliło nam zorganizować własne nasze bezpieczeństwo nie w charakterze klijentów mocarstw europejskich, lecz w roli współtwórcy pokoju europejskiego.

Dziś rodzą się znów tendencje do usztywnienia naszej polityki zewnętrznej; do podporządkowania jej wyrozumowanym, doktrynalnym przesłankom. Pod działaniem tych przesłanek znajduje się społeczeństwo, reagujące raczej uczuciowo niżeli rozumowo na próby sugerowania mu takich czy innych, przeważnie dość mglistych systemów politycznych.

Nasuwa się tedy pytanie, czy nie wyprzedzamy wypadkiem faktów i czy nie klasyfikujemy zjawisk zbyt po doktrynersku. Bo to może nas znów „zdeklasować". Przypomnienie zatem spostrzeżeń Marszałka, przytoczonych na wstępie wydaje się więc, jak sądzę, bardzo na czasie. Rozważmy ich sens dla naszej polityki zewnętrznej.

A więc naprzód interes. Nie chodzi tu, oczywista, o interes doraźny, o tę, czy inną korzyść na dziś, o to, co miał, zdaje się, na myśli min. Beck, mówiąc w swem ostatniem przemówieniu w Sejmie, że Polska nie jest do kupienia. Chodzi o istotny, trwały, pozakonjunkturalny, że tak powiem, interes narodu i państwa polskiego.

Daleki jestem od uznania teorji i metod geopolityki niemieckiej za właściwą i dostateczną podstawą do oceny niezbędnych dla narodów i państw naturalnych warunków bytu; grzeszą one zbytniem uproszczeniem rozumowania i przystosowaniem go do apriorycznych wskazań, ulegają zatem łatwo wymogom chwili i naciskowi politycznej tendencji.

Nie zmienia to jednak faktu, że naturalne podstawy bytu narodu decydują w ogromnej mierze o twardym, niezależnym od chwilowej konjunktury jego interesie. To jest właściwa oś, dokoła której rozwijają się jego dzieje.

A taką naturalną osią, wokół której kształtuje się od wieków rzeczywistość polska, jest oś Wisły i system drożny z północnego zachodu na południowy wschód. Interes tego systemu drożnego wytyczył nasze dzieje, w szczególności ich wielkie karty. Zlekceważenie tego faktu grozić może nam podporządkowaniem przesłankom doktrynalnym lub konjunkturalnym istotnych spraw życiowych narodu.

Z kolei zapytać należy, co jest najbliższem naszem zadaniem przy realizowaniu tego istotnego wymogu polskiej racji stanu.

Czy przedłużenie systemu drożnego Wisły w kierunku południowo - wschodnim, a więc wyjście na rozległe obszary Ukrainy i zbliżenie się do brzegów morza Czarnego, którego w przeszłości nigdy, niestety, nie osiągnęliśmy na trwałe, czy umocnienie pozycji Rzeczypospolitej u ujścia Wisły i nad Bałtykiem tak, byśmy mogli mieć pewność uzasadnioną, że interesy nasze nie będą z tej pozycji nigdy zepchnięte.

Krótkie nasze doświadczenie polityczne powojenne wskazało wymownie, że w zależności od warunków realnych byliśmy aktywni i tu i tam. I znaczenie naszej wytrwałej walki o Bałtyk, jak również śmiałej, dalekosiężnej kampanji kijowskiej oceniać należy m. i. pod tym kątem, że ukazały nam one kierunki naszej aktywności. W chwili obecnej kwestja umacniania naszej pozycji nad Bałtykiem jest zagadnieniem głównem najbliższego, zapewne dość długiego okresu. Pozostaje to w związku z wymogami interesu ziem etnograficznie polskich, stanowiących trzon odrodzonego Państwa Polskiego. Ale nietylko to.

Nie możemy dziś ryzykować powtórzenia się sytuacji z przed drugiego rozbioru, kiedy to Rzplita, władając rozległemi i bogatemi obszarami ukraińskiemi, przeżywała wraz z niemi ciężki kryzys gospodarczy skutkiem „podwiązania" ujścia Wisły przez Prusy. W tych bowiem warunkach

o niezależności politycznej nie może być mowy. A to jest wszak istotnym celem i nakazem polskiej polityki zagranicznej.

Nie zachęca nas także do podejmowania prób rozwiązania kwestji ukraińskiej w szerszym zasięgu aktualny stan sprawy ukraińskiej w Państwie Polskiem. Kanonem bowiem naszej polityki w stosunku do ziem zamieszkałych przez ludność ukraińską, a także do sprawy ukraińskiej w najszerszem tego słowa znaczeniu, było i jest pozostawienie t. zw. Rusi koronnej i Wołynia w integralnym związku z Polską.

To przemawia za tem, iż w aktualnej chwili politycznej Polski jedynie słuszne jest twierdzenie, że bliższe nam jest załatwienie sprawy Bałtyku. Przesądzać jednak nie można, czy jest to sprawa naszego pokolenia, jak również czy zmienna aura europejska nie postawi przed nami w międzyczasie i innych zadań do zrealizowania.

Swoboda decyzji w zakresie politycznego działania nazewnątrz jest wszakże warunkiem nieodzownym osiągnięcia stojących przed Polską celów. Nietylko bowiem na zachodzie są hamulce, które powstrzymują rozwój naszego życia, ale i na Wschodzie także.

Warunkiem drugim jest jasne sformułowanie interesów naszych wobec kontrahentów dla znalezienia rzeczywistych a nie urojonych lub wątpliwych punktów stycznych. W przeciwnym wypadku decyzja może być łatwo podważona przez życie.

Chętnie dopatruje się dziś w stosunkach europejskich faktu, iż tworzą się, czy może tylko odtwarzają, kompleksy polityczne o szerokim zasięgu. Dzisiaj zarysowują się w powojennej mgławicy kontury tych kompleksów. Zarysowują i — zacierają. Europa idzie bezsprzecznie ku temu, by nabrać kształtów i barw. I w tym naturalnym procesie nie może nas, rzecz prosta, zabraknąć. Ale nie trzeba sytuacji Polski zbyt komplikować i obciążać. Mamy przymierze z r. 1921, które w sposób konkretny określa nasz wzajemny stosunek z Francją. W wytworzonej ostatnio sytuacji politycznej zajęliśmy wyraźne stanowisko. Z doniesień prasowych wynika, że zapewniliśmy naszą sojuszniczkę zachodnią o możności liczenia na czynną pomoc w ramach sojuszu z roku 1921. W zbiorową gwarancję bezpieczeństwa dawno straciliśmy wiarę. Nie dała się ona urzeczywistnić w powojennej Europie, a próby jej osiągnięcia przyniosły nam dotychczas tylko rozczarowania, skutkiem lekceważenia naszych najbardziej istotnych interesów. W tych warunkach sceptycyzm jest najzupełniej uzasadniony. Decyzja zaś, któraby postawiła nas przy boku Rosji, jest równie ciężka, jak decyzja szukania oparcia u boku Niemiec. Doświadczenia przeszłości nie pozostawiają co do tego złudzeń.

Chcemy żyć w najlepszych stosunkach z sąsiadami. I mamy podstawę sądzić, że oni to rozumieją. Agresja Niemiec na nasze granice zachodnie nie jest koniecznem następstwem remilitaryzacji Nadrenji. Rzecz prosta, jeśli Niemcy nie porzucą polityki fryderycjańskiej i nie przystosują do realnych warunków na pograniczu doktryny integralnego nacjonalizmu, stosunki nigdy nie będą dobre. Rwać się będą, jak rwały się za czasów zakonnych. Ale ekspansja wprost na wschód nie jest jedynym wentylem dla kotła niemieckiego. Zwróciła na to uwagę dyplomacja angielska już w chwili zawierania traktatu wersalskiego.

To nie uprawnia nas, oczywista, do osłabienia czujności ani do zlekceważenia wymogu podstawowego: gotowości. Jest ona najistotniejszym, niezmiennym warunkiem naszej niezależności. Doświadczenia nie idą w las. Musimy być nadal aktywni, jak byliśmy dotychczas, poto, aby osiągnąć swój cel żywotny. Wskazania naszej polityki zagranicznej płynąć muszą z jasno zarysowanego naszego interesu. Możemy być w pewnych warunkach uczestnikami takiego czy innego systemu politycznego. Nie to jednak jest najważniejsze. Najważniejsze to to, byśmy nie zagubili właściwej linji polityki własnej. Przedewszystkiem musimy być sobą.

Tadeusz Wałek-Czernecki

Polska musi się zbroić

W ciągu ostatniej sesji ciał ustawodawczych poruszono w Sejmie i w Senacie obok innych spraw także sprawę stanu sił zbrojnych Państwa Polskiego. Mówiono jednak o niej mniej niż np. o tak pasjonującem zagadnieniu, jak ubój rytualny bydła. Z wyjątkiem zaś męskich oświadczeń p. ministra Kasprzyckiego żadne przemówienie nie odpowiadało istotnej wadze sprawy, której dziś wszystkie inne, nie wyłączając wałkowanej w nieskończoność równowagi budżetowej, powinny ustąpić pierwszeństwa.

Zresztą, nie słowa, lecz czyny są tutaj niezbędne. Tymczasem w obliczu fenomenalnego wzrostu zbrojeń w całym świecie podczas dwóch ostatnich lat Rząd polski zachowuje olimpijski spokój, nie podwyższając ani o grosz wydatków na cele wojskowe w stosunku do wydatków okresu, kiedy sytuacja międzynarodowa była nieskończenie mniej groźna. Możnaby sądzić, że w przekonaniu Rządu radykalne przesunięcie stosunku sił zbrojnych Polski i jej sąsiadów nie wymaga z naszej strony żadnej reakcji.

Zagranica nie podziela jednak optymizmu naszych sfer kierowniczych i z faktu niedotrzymania przez Polskę kroku zbrojeniom innych mocarstw wyciąga wnioski jak najbardziej ujemne dla prestiżu i interesów Rzplitej. Nadzwyczaj charakterystycznym dla tych nastrojów był głos pochodzący z państwa, które dotychczas okazywało nam największe względy, mianowicie z Niemiec. Berliner-Tageblatt z 12 marca b. r. ogłosił artykuł p. t. „Polen und der Franco-Sowjet-Pakt" w którym krótko i węzłowato stwierdził, że polityka wielkomocarstwowa, rozpoczęta z chwilą objęcia urzędu ministra spraw zagranicznych przez pułkownika Becka, utraciła swą podstawę wskutek zmiany w stanie uzbrojenia Niemiec i ZSSR. Ponieważ wywody berlińskiego organu nie znalazły dotąd dostatecznego echa w publicystyce polskiej, mimo że zwracają uwagę na rzeczy wyjątkowej doniosłości dla Polski, przeto przytoczymy tutaj w dosłownem tłumaczeniu ustęp najważniejszy:

„Gdy pułkownik Beck 1 listopada 1932 objął polskie ministerstwo spraw zagranicznych, reprezentował państwo, które rozporządzało dobrze wyposażoną armją w sile 266.000 ludzi. Chodziło o najsilniejszą, gotową do działania armję europejskiego Wschodu. Albowiem zachodni sąsiad Polski, Niemcy, rozporządzał tylko armją stutysięczną, której w dodatku brakowało nowoczesnych środków walki. Wschodni sąsiad Polski, ZSSR, wykazywał wprawdzie stan liczebny wojsk w sile 562.000 ludzi, jednakże dwa wewnętrznopolityczne przedsięwzięcia stały na przeszkodzie wszelkiemu racjonalnemu prowadzeniu wojny, mianowicie: rozbudowa przemysłu była w połowie drogi, kolektywizacja rolnictwa była za pasem. Nie wiemy, czy pułkownik Beck uważał położenie, które zastał, za niezmienne. Wiemy tylko, że umiał je wyzyskać: oparł na niem nową polityką Państwa Polskiego, **politykę wielkomocarstwową.**

Dziś, po trzech latach, położenie zmieniło się całkowicie: Niemcy pozbyły się więzów traktatu wersalskiego, dotyczących polityki militarnej. ZSSR znajduje się w końcowej fazie industrjalizacji i kolektywizacji a jako ich najbardziej widoczny sukces prezentuje armję 1.300.000 dobrze wyposażonych żołnierzy. Polska natomiast posiada **w następstwie swej ograniczonej przestrzeni, swych ograniczonych środków i swej ograniczonej potencji przemysłowej** — tę samą siłę armji co w r. 1932, przyczem jej techniczny ekwipunek **nie odpowiada** już w zupełności dzisiejszemu poziomowi. Nie żeby armja polska nie była czynnikiem militarnym, który trzeba brać poważnie. Absolutnie biorąc, jest ona nim całkowicie. Właśnie tylko biorąc rzecz relatywnie, ar-

mja polska straciła na znaczeniu. Gdyby się uwzględniło wszystkie okoliczności militarne, toby się okazało, że położenie Polski jest pod pewnemi względami daleko korzystniejsze, pod innemi jednak jeszcze daleko niekorzystniejsze, niżby można wnosić z przeciwstawienia stanów numerycznych armji. Niewzruszony jednak pozostałby wniosek główny: **że stosunek sił został odwrócony**, że z korzystnego dla Polski położenia roku 1932 **pozostało tylko wspomnienie**. Jeżeli zaś korzystny dla Polski stosunek roku 1932 był podstawą dla ekspansji zewnętrznej lat 1933 i 1934, to trzeba stwierdzić, że obecna polityka zewnętrzna **nie rozporządza już tą podstawą**".

Nasz przyjaciel berliński uprzedza nieco wypadki. Jak to staraliśmy się wykazać w artykule pt. „Polska wobec nowej sytuacji międzynarodowej" (Naród i Państwo Nr. 4 i 5), położenie Polski poprawiło się do tego stopnia wskutek zerwania związku niemiecko - rosyjskiego, że pomimo dozbrojenia Niemiec i ZSSR. jej stanowisko jest decydujące dla ukształtowania losów Europy. Atoli ten stan rzeczy nie jest trwały, co więcej musi w krótkim czasie ulec gruntownej zmianie na naszą niekorzyść, jeżeli stosunek sił zbrojnych Polski z jednej strony a Niemiec i Rosji z drugiej będzie się dalej przesuwał na korzyść tych ostatnich państw. Uczynić wszystko, co leży w naszej mocy, ażeby nie dopuścić do pogorszenia się aktualnego stosunku sił, jest w obecnych warunkach podstawowym postulatem samozachowania Polski.

Nie mamy oczywiście możliwości zmienić faktu że ZSSR zajmuje powierzchnię sześćdziesięciokrotnie większą od powierzchni Państwa Polskiego i że liczba mieszkańców państwa sowieckiego jest pięciokrotnie większa, niż ludność Polski, że wreszcie zasoby naturalne olbrzymiego terytorjum od morza Czarnego po ocean Spokojny są nieporównanie większe od zasobów naszej ojczyzny. Wszelako historja i geografja polityczna uczą, że potęga państw nie jest a przynajmniej nie musi być proporcjonalna do ich obszaru, liczby ludności, czy wielkości zasobów naturalnych. Przeciwnie, na każdym kroku widzimy, że jakość więcej niż kompensuje niedostatek ilości. Element jakościowy *par excellence*, jakim jest człowiek — zarówno człowiek - jednostka, jak człowiek - organizm społeczny — może nawet w szerokim zakresie zmienić na swą korzyść stosunki ilościowe. To też dziś Japonja mająca terytorjum 382.000 km² (a więc mniejsze, niż Polska!) oraz 69 miljonów mieszkańców, jest największą potęgą polityczną i militarną na kuli ziemskiej, silniejszą od imperjum brytyjskiego z jego 31 miljonami km. kwadratow. powierzchni i 450 miljonami ludności, od ZSSR. z 21 milj. km² i 170 miljonami mieszkańców, od Stanów Zjednoczonych z 9½ miljonami km² i 122 miljonami ludności. Jeżeli dziś Rzesza Niemiecka, zajmująca obszar tylko o 23% większy od obszaru Państwa Polskiego, ma ludność większą o 100% od ludności Polski, to ów stan rzeczy nie jest bynajmniej wynikiem konieczności przyrodzonej, lecz fatalnych warunków politycznych i ekonomicznych, w jakich żyły ziemie wchodzące w skład Rzplitej.

Zaniedbania i grzechy nietylko zaborców, ale jeszcze dawnej Rzplitej szlacheckiej, mogą i powinny być odrobione przez odrodzoną Polskę; jest to bowiem nieodzownym warunkiem utrzymania jej pozycji w Europie, jako wielkiego mocarstwa. Zadanie to jednak wymaga do realizacji długiego czasu, racjonalnego planu i umiejętności wykonania. Tymczasem rozwój wypadków w Europie stawia nas wobec konieczności natychmiastowego wzmocnienia naszego pogotowia zbrojnego aż do maximum osiągalnego w warunkach dnia dzisiejszego i najbliższej przyszłości. Ta akcja doraźna musi objąć zarówno powiększenie stanu liczebnego armji, jak jej zaopatrzenie w materjał wojenny, odpowiadający pod względem jakościowym i ilościowym poziomowi osiągniętemu przez naszych sąsiadów. Jako ilustrację kwestji stanu liczebnego armji wystarczy zacytować fakt, że Niemcy obecnie przy jednorocznej służbie wojskowej, mają oficjalnie pod bronią 565.000 żołnierzy. Polska ma wprawdzie ludność, wynosząca tylko połowę ludności Niemiec, ale za to ma dwuletnią służbę wojskową, a więc teoretycznie mogłaby mieć tą samą liczbę żołnierzy w armji czynnej, co Rzesza; w rzeczywistości jednak stan prezencyjny armji polskiej jest zgórą dwukrotnie niższy od oficjalnego stanu armji niemieckiej, prawdopodobnie niższego znacznie od rzeczywistego.

Konieczność nadzwyczaj wydatnego zwiększenia naszych zbrojeń pociąga za sobą decydujące konsekwencje w dziedzinie polityki finansowej i gospodarczej. Polityka deflacji i „równania wdół", choćby z ekonomicznego punktu widzenia była tak słuszna, jak w przekonaniu piszącego te słowa jest błędna, *nie da się absolutnie pogodzić* z adekwantnem wzmocnieniem naszych sił zbrojnych, które dziś jest dla Polski kwestją życia lub śmierci. Humorystycznie i tragicznie zarazem brzmią propozycje wysuwane w polskim parlamencie, ażeby wydatki związane z dozbrojeniem Polski pokryć przez emisję nowej Pożyczki Narodowej. Jak gdyby kwota 200 czy nawet 300 miljonów złotych, któraby można uzyskać tą drogą, znaczyła cokolwiek wobec sumy 20 miljardów złotych, wydanej przez Niemcy w r. 1935 na bezpośrednie i pośrednie zbrojenia! Środki potrzebne dla zadośćuczynienia nieodpartym koniecznościom armji można zdobyć jedynie przez raptowne i bardzo intensywne ożywienie działalności gospodarczej, przedewszystkiem produkcji przemysłowej, a to da się osiągnąć jedynie przez bezpośrednią gospodarczą akcję państwa. W naszych warunkach wysuwanie przez epigonów Adama Smitha kwestji inicjatywy prywatnej, czy rentowności nosi charakter dyskusji czysto akademickiej. Nie wzbogacenie jednostek, lecz *zaspokojenie potrzeb państwa w pierwszym rzędzie, społeczeństwa, w drugim*, musi być wytyczną zasadniczą gospodarstwa narodowego Polski.

Ze stanowiska prymatu interesów państwa także w sferze ekonomicznej, trzeba uznać, wbrew hasłu: twarzą do wsi, że ożywienie gospodarcze musi u nas rozpocząć się od przemysłu, nie zaś od rolnictwa. Będący następstwem siedmioletniego kryzysu deficyt produkcji jest bowiem największy w zakresie przemysłu i to właśnie tego przemysłu, który dla obrony państwa ma rozstrzygające znaczenie. Niespełna 900 tysięcy ton stali wyprodukowanej w Polsce w r. 1935 i 19 miljonów ton stali wyprodukowanej w tym samym roku w Niemczech, przeciwstawienie tych cyfr powinno patrjocie polskiemu wystarczyć do przejścia do porządku dziennego nad najsubtelniejszemi argumentami, zaczerpniętemi z ekonomji klasycznej. Żelazo jest ważniejsze od złota, zwłaszcza w czasach wojennych. Prawdę tę znali już Polacy Krzywoustego. Niech pamiętają o niej także Polacy r. 1936.

Warszawa, 15.III. 1936 r.

„Człowiek jakoby ujarzmia żywioły. Żywioły, nie jego ręką wytworzone na naszym padole płaczu. Żywiołów tych dawniej liczono zaledwie kilka, a liczba ich rośnie prawie z roku na rok. Zaprzęga je człowiek do roboty, jak jakie woły robocze. Woda więc obraca koło, słońce ogrzewa pola i elektryczność pracuje we wszystkich kierunkach. Ogień daje ciepło. Woły robocze czyni z elementów człowiek. I dumny jest z tego, że dzieło nie swoje opanował; zmusił do niewolniczej roboty dla swojej jedynej wygody.

Dumny jest z tego, lecz czyż ma dostateczne do tego zasady? Czyż nie spostrzega, że żywioł, będący w codziennej robocie, i klęski zadawać mu może? Rozszalałe powodzie, słońca pożogi, spalające pola, ogień, niszczący miasta i wioski, pioruny, z nieba bijące, zarazki powietrza, trzęsienia ziemi — czyż nie są dostatecznym powodem do większej skromności człowieka w stosunku do żywiołów?

A jednak jest żywioł nie boski, lecz ludzki i może dlatego człowiek tak mało go szanuje. Żywiołem tym jest praca, praca ludzkich mózgów, praca ludzkich serc i praca ludzkich mięśni.

Dzieje ludzkie, w całych tysiącleciach, wszystko to, co nazywamy kulturą, są właściwie przetworem tego ludzkiego żywiołu, człowieczej pracy".

Józef Piłsudski, „Płyty gramofonowe"
(5 IX. 1924 r.). „Pisma, Mowy, Rozkazy." T. VIII. str. 67.

O mózg narodu

Wszystko co wychodzi z pod pióra Władysława Studnickiego, jest od szeregu lat czytane z największą uwagą wszystkich myślących w Polsce o sprawach publicznych. Z uwagą ale zawsze krytycznie, nie w znaczeniu skłonności do krytykowania, ale raczej liczenia się z koniecznością tej krytyki w pewnych wypadkach. Wielkie zdolności, niezależność sądu i powszechnie uznawana dobra wiara znakomitego pisarza politycznego, nie zamykają ludziom oczu na jednostronność w rozważaniu zagadnień, co powoduje, iż nieraz wybornemu oświetleniu części problemu towarzyszy nieuwzględnienie jego reszty. Oryginalność Studnickiego spewnością nie na tej jednostronności polega: ta cecha jest mu wspólna z bardzo wieloma umysłami i to nawet wśród najwybitniejszych. Komu nie są obce dzieje myśli ludzkiej, ten musiał nieraz doświadczać zdumienia, dlaczego ten lub ów myśliciel pomija niekiedy milczeniem rzeczy zupełnie oczywiste, które, w razie wzięcia ich pod uwagę, musiałyby zmienić wyniki jego rozumowania. Zbyt intensywne wpatrzenie się w jeden punkt pozbawia nas możności widzenia innych rzeczy.

Taką jednostronnością jest nacechowany artykuł Władysława Studnickiego p. t. „O mózg narodu" w nr. 29 Pionu z r. ub. W artykule tym autor wypowiada zapatrywanie, iż liczny napływ do szeregów inteligencji osób pochodzących z mas ludowych (i wogóle warstw nieświeconych) „wywołuje obniżenie poziomu duchowego warstwy będącej mózgiem narodu". Autor nie jest przeciwnikiem tego napływu, gdy jest on „umiarkowany i stopniowy, ogranicza się do najlepszych osobników z tych warstw i inteligenci z pierwszego pokolenia ulegają asymilacji". Chodzi tylko o to, iż szkodliwy jest „napływ inteligentów z pierwszego pokolenia przewyższający kilkakrotnie liczebność inteligentów z dziada pradziada". Ci właśnie inteligenci z pierwszego pokolenia, bezpośrednio pochodzący z warstw nieoświeconych stanowią niebezpieczeństwo główne ale nie jedyne. „Dla urobienia prawdziwego inteligenta potrzeba w zwykłych warunkach, nie mówiąc o wyjątkowych jednostkach, przynajmniej trzech pokoleń, jak to wykazują nietylko u nas prowadzone obserwacje".

Tak, być może, że tak jest, ale czy typ „prawdziwego inteligenta" jest tak dalece dodatni, iż on to powinien być całkowicie lub przeważnie przedstawicielem tego odłamu społeczeństwa, który stanowi „mózg narodu". Otóż nie; odrazu nasuwa się uwaga, że prawdziwy inteligent jest to połączenie wielkich zalet i wielkich wad. Prawdziwy inteligent jest to typ, który w całej pełni urzeczywistnia wszystkie cechy związane z działalnością umysłu, jako główną funkcją życiową. Ten typ cechuje wielka sprawność umysłu, przy niedostateczności, albo nawet braku zdrowego rozsądku i wielka subtelność odczuwania przy niezdolności do głębokiego i mocnego życia uczuciowego. Ta subtelność odczuwania jest przewrażliwieniem nerwów; oznacza ona trwonienie uczuciowości na odczuwanie rzeczy nieistotnych, często zupełnie błahych. To straszne marnotrawstwo sił życiowych uchodzi zresztą często za objaw jakiejś wyższości.

Jeśli przewrażliwienie nerwów, jako skutek przerostu funkcji umysłowej, jest dość zrozumiałe, to brak zdrowego rozsądku, jako skutek tej samej przyczyny, wygląda zagadkowo. Jestże to zawikłanie się umysłu w bogactwie własnych form i treści dostarczanej przez kulturę? Lub może postawa widza, związana z umysłowym stosunkiem do rzeczywistości, przy nadmiernym rozwoju prowadzi do zaniku wyczuwania rzeczywistości jako zbyt odległej? Czy może schorzenie życia uczuciowego utrudnia spokojne, objektywne patrzenie na rzeczywistość? Być może, iż te wszystkie przyczyny oddziaływują w różnym stopniu u różnych ludzi. W każdym razie zastanawiający jest fakt, jak często można spotkać ludzi o bystrej, ruchliwej i bogatej umysłowości, zdolnych zarazem do wygłaszania zdań wybitnie nierozsądnych.

Jest to wielkie szczęście, iż inteligencja polska w większości swej dotąd nie składa się z prawdziwych inteligentów; nawet o inteligentach „z dziada pradziada" nie możnaby tego powiedzieć. Niemniej przeto typ prawdziwego inteligenta jest już dość częsty; niebezpieczeństwo tego typu, zresztą nie polega tylko na jego liczebności, ale głównie na tem, iż naturalna tendencja rozwojowa każdej inteligencji zmierza w kierunku tego typu. Stąd wpływ, jaki ten typ wywiera na ogół inteligencji i stąd postawa wyższości, jaką przybiera prawdziwy inteligent. I stąd łatwość z jaką nieraz wmawia swą mniemaną wyższość w tych, co są więcej warci od niego. Leży to w naturze rzeczy, iż właśnie inteligent z dziada pradziada jest szczególniej narażony na niebezpieczeństwo idące od typu prawdziwego inteligenta.

Napływ inteligentów pierwszego pokolenia w tych warunkach jest zjawiskiem zasadniczo dodatniem. Nietylko ich zalety, ale być może nawet poniekąd ich wady stanowią przeszkodę dla wędrówki inteligencji w kierunku typu prawdziwego inteligenta. Dlatego niekoniecznie dodatni objaw stanowi asymilowanie inteligentów pierwszego pokolenia przez inteligentów z dziada pradziada; byłoby tu raczej pożądane wzajemne oddziaływanie. Inteligencji potrzeba odświeżania nietylko przez ludzi z innych środowisk (co uznaje do pewnego stopnia i Władysław Studnicki), ale także przez nieinteligenckie elementy życiowe. Odgrodzenie się od reszty narodu jest dla inteligencji bardziej szkodliwe, niż dla jakiegokolwiek innego odłamu społeczeństwa.

Tu nasuwa się uwaga, którą do przykrych zaliczyć trzeba: elementy barbarzyństwa naszych mas ludowych. Marny to przyjaciel ludu polskiego, który zaprzecza rzeczy tak oczywistej. Jeśli to zaprzeczenie jest szczere, to tem gorzej dla sprawy, której pragnie służyć. Ale barbarzyństwo nie jest rzeczą najgorszą; o wiele gorszem jest zwyrodnienie kulturalne. Barbarzyństwo to surowy materjał, dostępny dla uszlachetnienia, ale z kulturalnego próchna nic już zrobić nie można. Zwyrodnienie kulturalne to zużycie sił życiowych; jest to zanik zdolności odczuwania jakichkolwiek wartości, sceptycyzm, zniechęcenie, nuda i pustka, zanik wreszcie i sił twórczych, a tem samem niezdolność do dostarczenia narodowi polskiemu [illegible] w całości (a należy tu ogół naszej inteligencji) do zwyrodnienia kulturalnego na szczęście daleko. W porównaniu do narodów Zachodu wyglądamy raczej na naród duchowo jeszcze niedojrzały, nieświadomy głębszych pokładów swej natury i pełen możliwości zaledwie słabo przeczuwanych. Istnieją jednak pewne objawy duchowego zestarzenia właśnie w najbardziej kulturalnych środowiskach (inteligencja z dziada pradziada i arystokracja rodowa). Samo pojawienie się w naszej literaturze typu takiego jak Płoszowski, już daje dużo do myślenia. Typ prawdziwego inteligenta jest szczególniej podatny dla kulturalnego zwyrodnienia.

Inteligent pierwszego pokolenia wygląda w większości wypadków dość szaro, niepokaźnie. Jest on bądź co bądź nowicjuszem w swem środowisku, a jak wiadomo każdemu nowicjuszowi trudniej ujawnić zaletę niż wady. Syn ludu przedzierzgnięty w inteligenta dźwiga prócz tego na sobie wielowiekowe dziedzictwo ciężkich warunków życia środowiska, z którego pochodzi. Brak tu zupełnie świetnych pozorów; umysł niebłyskotliwy, ociężały, powoli przyjmujący wrażenia nie robi dodatniego wrażenia na tych, którzy zapominają, że nietylko zdolność przyjmowania, ale jeszcze więcej zdolność zatrzymywania i przetwarzania decydują o wartości umysłu. Brak tu również i owej subtelności odczuwania, która w środowisku inteligenckiem jest równie powszechnie, jak niesłusznie, uznana za zaletę. Ostatecznie jednak trzeba się zgodzić, z tem, że duża część inteligentów pierwszego pokolenia trudniej daje sobie radę z funkcjami społecznemi inteligenta, aniżeli ci, którzy już mają pod tym względem jakieś tradycje rodzinne, lepiej wszakże niż ci, którzy są „prawdziwymi inteligentami". Natomiast jednostki wybitne wśród inteligentów pierwszego pokolenia są to ludzie wielkiej, często bardzo wielkiej wartości; naogół pod względem umysłu i charakteru stoją oni na wyższym poziomie, niż wybitne jednostki z pośród inteligencji z dziada pradziada. Należy pamiętać, że wszelkie przeszkody dla napływu inteligentów pierwszego pokolenia godzą i w tych najlepszych.

Artykuł Władysława Studnickiego jest poważnem spojrzeniem na poważne zagadnienie i wymaga rzeczowej dyskusji. Że może być dla wielu przykry, (jest przykry i dla autora tych słów, chociaż nienależącego do inteligentów pierwszego pokolenia), to nie upoważnia jeszcze do krytyki w podrażnionym tonie, chwytania autora za poszczególne słowa i ustępy i przypisywania mu poglądów, których nie wypowiedział. Również bezpodstawnem byłoby obciążanie autora odpowiedzialnością za to, iż wśród inteligencji naszej zaczyna się ujawniać niechęć do napływu elementów, pochodzących z warstw ludowych. Jest to objaw nowy, którego źródeł nie można szukać w jakiejś pysze stanowej. Chodzi tu o coś zupełnie innego; coraz trudniej pracownikowi umysłowemu o kawałek chleba, więc też z niechęcią patrzy na „przybyszów" z innych warstw, którzy obniżają warunki pracy i zarobkowa-

nia. Z tego punktu widzenia zamknięcie inteligencji w ciasnem kole potomków rodzin inteligenckich staje się rzeczą pożądaną i to nawet dla tych, którzy sami są inteligentami pierwszego pokolenia. Ciężkie warunki życia spychają inteligencję za stanowiska mózgu narodu i czynią z niej nie miejsce spotkania wszystkich klas społecznych, ale klasę między klasami. W tych warunkach łatwo o niechęć do [illegible]. Jest to jeden z wielu jadowitych owoców kryzysu gospodarczego.

J. R.

Stawka na inicjatywę prywatną?

Jeśli narada gospodarcza miała mieć na celu wspólne omówienie przez czynniki biorące aktywny udział w gospodarce społecznej Polski tego, jakie powinny być linie wytyczne polityki gospodarczej Rządu i społeczeństwa w najbliższym okresie i jakie środki działania należy zastosować, by szybko wyciągnąć gospodarstwo z dna kryzysu i jaknajprędzej je rozbudowywać i przebudowywać — no, to narada nie dała pozytywnych rezultatów. I dać nie mogła. Bo dla takiego zadania była fałszywie skonstruowana. Bo powołała tylko przedstawicieli świata kapitału, i to w lwiej części wielkiego (w skali, oczywiście, polskiej), a nie powołała przedstawicieli najważniejszego czynnika w gospodarstwie, t. j. pracy (bo doproszenie szczupłego grona ludzi, uznanych za reprezentujących świat pracy, zresztą bez dopuszczenia ich do aktywniejszego udziału w przygotowaniu narady i w jej pracach — nie zmieniło istotnego stanu rzeczy).

Jeśli jednak narada miała cel inny, jeśli miała być środkiem oddziałania na t. zw. sfery gospodarcze, miała być okazją dla zadeklarowania stanowiska Rządu wobec tych sfer — no, to zadanie swe spełniła, choć może lepiej było mówić z faktycznymi kierownikami — od strony kapitału — warsztatów produkcji czy wymiany, a nie z ich zawodowymi adwokatami i z ich urzędnikami do spraw obrony interesów.

Ponieważ kapitał prywatny, i t. zw. inicjatywa prywatna twierdziły, że zło całe tkwi w zbytniej ingerencji państwa w życie gospodarcze i w dużej płynności warunków wytwarzania czy wymiany, i że dlatego właśnie nie może być ożywienia, — więc Rząd zwołał naradę i powiedział: Dobrze, pokażcie, co możecie. Uznajemy zasadę rentowności — słuszną i niezbędną zresztą w kapitalistycznym systemie. Będziemy starali się przez naszą politykę gospodarczą stwarzać warunki odpowiednie dla rozwoju tej rentowności. Będziemy usuwać biurokratyczną ingerencję w życie gospodarcze, usuwać przeszkody dla rozwoju waszej inicjatywy. A, co najważniejsze, obiecujemy wam stabilizację warunków waszej działalności. Przedewszystkiem nie będzie już mechanicznych cięć, ani administracyjnych środków oddziaływania na procesy gospodarcze.

Rząd więc zwołał naradę, aby dać zapowiedź: stawiamy na was, na inicjatywę prywatną, dając w ten sposób psychiczny — oprócz rzeczowych — impuls do aktywizacji tej inicjatywy.

Ale czy aby stawka ta jest słuszna? Czy aby stawka na taką inicjatywę prywatną, jaką przeważnie widzieliśmy i słyszeliśmy właśnie na naradzie gospodarczej — jest właściwa? I czy jest bezpieczna?

W odpowiedzi na swe stanowisko rząd usłyszał na naradzie znowu postulaty, postulaty i postulaty. Niektóre uwagi i żądania „sfer gospodarczych" mogły być nawet słuszne, dotycząc np. tych momentów, kiedy biurokracja wypacza dobre intencje ustawodawcy, kiedy wykonanie nie odpowiada właściwej normie lub nawet kiedy same normy okazują się nieżyciowym tworem. Ale na to, żeby takie uwagi i żale przynieść — na to nie trzeba było narady.

Można było sądzić, że reprezentowana (w mniej lub więcej dokładny sposób) wielkokapitalistyczna inicjatywa prywatna przedstawi program swego działania, swoje możliwości, swoje środki, żądając tylko pewnych równoległych posunięć polityki gospodarczej, a zwłaszcza inwestycyjnej Państwa. Tymczasem — w mniej lub więcej wyraźnej formie — były tylko [illegible] podatkowych, redukcji obciążeń społecznych, odstąpienia inicjatywie prywatnej (oczywiście w [illegible]) różnych przedsiębiorstw państwowych, zarezerwowania dla tej inicjatywy inwestycyj specjalnie rentownych, zarezerwowania dla niej rynku kredytowego, przesunięcia do banków prywatnych kapitałów z banków państwowych, przez upośledzenie tych ostatnich pod względem atrakcyjności stopy procentowej dla wkładów i t. d. i t. d. Jednem słowem, państwo ma w ten lub inny sposób finansować inicjatywę prywatną, a pozatem nie krępować jej w gospodarowaniu udzielonemi lub odstąpionemi środkami jedynie pod kątem uzyskania największego doraźnego zysku (a to co innego niż rentowność), który nota bene byłby zapewne nie zainwestowany, a przemycony zagranicę.

Wiemy, że produkcja przemysłowa Polski znajduje się w większości w rękach kapitałów zagranicznych, że dość poważny procent stanowią tu kapitały państwowe, a dopiero nie tak wielka reszta przypada na kapitały polskie, które dysponują przeważnie średnim przemysłem. Otóż, kapitały zagraniczne, dysponujące dziś większością produkcji przemysłowej, więcej teraz zapewne nic nie dadzą i inwestycyj za swoje fundusze nie podejmą. Na dopływ nowych kapitałów zagranicznych w obecnej sytuacji obrotu międzynarodowego kapitałami niema co narazie liczyć. Więc na co właściwie stawka?

Czyż już nie lepiej stawiać na jeszcze duże (w sumie biorąc) — jak na nasze stosunki — kapitały stezauryzowane i unieruchomione, aby doprowadzić je do procesów inwestycyjnych i produkcyjnych? Czy nie lepiej uruchomić wszelkie możliwości kredytowe na cele [illegible] Państwa w niezbędny dla rozwoju produkcji aparat [illegible]? Czy nie lepiej wreszcie dopomóc kapitałowi średniemu, kapitałowi polskiemu do przebudowy jego warsztatów na skalę wielkoprzemysłową lub do [illegible] już istniejących warsztatów [illegible] masowej produkcji? Czy nie lepiej było postawić na polską inicjatywę społeczną w jej przejawach indywidualnych i zbiorowych, a także na inicjatywę publiczną?

Tydzień Polskiego Związku Zachodniego

30.III–6.IV

Pod protektoratem

Pana Prezydenta Rzeczypospolitej

Prof. Ignacego Mościckiego

OBYWATELE!

W dniach od 30 marca do 6 kwietnia b. r. odbędzie się z okazji 15-tej rocznicy Trzeciego Powstania Śląskiego na terenie całej Rzeczypospolitej — pod Najwyższym Protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej — doroczny „Tydzień Polskiego Związku Zachodniego".

Tydzień ten poświęcony będzie:

1) szerzeniu w społeczeństwie gruntownej znajomości zagadnień śląskich,

2) zbiórce na cele Polskiego Związku Zachodniego.

OBYWATELE!

Śląsk to najczynniejsze źródło sił żywotnych Naszego Państwa. Śląsk — to prastara ziemia piastowska, która przez setki lat dochowała do dni dzisiejszych najcenniejszy skarb: niezłabioną polskość swojej ludności. Gruntowna znajomość spraw śląskich — to obowiązek każdego Polaka.

Niechaj dni od 30 marca do 6 kwietnia b. r. staną się naprawdę dla całej Polski Tygodniem Śląska. A równocześnie niechaj w tym okresie popłynie hojnie grosz ofiarny, składany na rzecz planowego rozwoju sił polskich na zachodzie.

Hasłem naszem niech będzie: Śląsk — to potęga Polski. Pod tem hasłem wzywamy Was do czynnego udziału w uroczystościach, obchodach, odczytach i manifestacjach propagandowych „Tygodnia".

KOMITET WYKONAWCZY

Tygodnia Polskiego Związku Zachodniego

Melchjor Wańkowicz

Rozkoszna Pała

„Ochrzczenie Kannibala nie zmieni jego gustów" (J. Dowbor Muśnicki „Moje wspomnienia" str. 272)

Po rewolucji rosyjskiej Polacy wydzielali się z armji rosyjskiej, formując własne jednostki bojowe. Wojna była na schyłku i rzucenie na kartę polskiego czynu zbrojnego na Wschodzie mogło w sposób decydujący zaważyć na decyzjach mocarstw, nie wiedzących, w kim należy widzieć czynnik stabilizacji w powstałym chaosie. Marszałek Piłsudski był już uwięziony w Magdeburgu i dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że gdy jeden z zaborców upadł, należy zwrócić się przeciwko pozostałym.

Największe skupienie przedstawiał pierwszy korpus pod dowództwem gen. Dowbora. Korpus ten był oprymowany przez bolszewików, nim wojska niemieckie nie zajęły miejsca jego dyzlokacji. Zapadła z Niemcami umowa określająca warunki bytowania 1-go Korpusu, jasnem jednak było, że umowa ta jest prowizoryczna. Była pewność, że Niemcy zażądają nowych koncesyj, co stworzyłoby pozór sojuszu polsko-niemieckiego, w przeddzień traktatu Wersalskiego. Należało do tego za wszelką cenę nie dopuścić i przygotować się do walki, któraby miała o tyle potężniejsze znaczenie polityczne, niż Kaniów, o ile liczniejszym był pierwszy Korpus.

W tym kierunku szli poczynający przenikać do Korpusu wysłańcy gen. Rydza-Śmigłego — Hołówko, Miedziński, Sokolnicki i inni.

Komendę P.O.W. w Korpusie objął Lis-Kula pod pseudonimem Kortyna, a na parę dni przed pamiętnym zamachem przyjechał Barthel de Weydenthal.

Generał Dowbor Muśnicki obiecywał do ostatniej chwili, że się będzie bić, ale gdy nastąpił nieuchronny moment i Niemcy zażądali rozbrojenia, decyzję zmienił i zgodził się na kapitulację. Wówczas został aresztowany przez peowiaków i Korpus poderwano do walki. Zdezorjentowana jednak większość oddziałów, nie wiedząc kogo reprezentują zamachowcy, pozostała bierną i zamach spełzł na niczem. Barthel de Weydenthal wraz z Lisem Kulą zameldował się do rozporządzenia gen. Dowbora, który jednak prosił, aby opuścili korpus i nieutrudniali mu sytuacji. Wtedy rozkazali podległym peowiakom udać się do Kijowa, co też uczyniono.

W komendzie P. O. W. prowadziłem wydział propagandowy i wydawałem nielegalne pismo „Sumienie". Uważając, że dla celów propagandowych musi ktoś zostać na placu, inaczej bowiem zamach nie otrzyma autentycznej wykładni, nie wyjechałem i byłem aresztowany. Po dziewięciu dniach odbył się sąd polowy, który mnie zwolnił.

Ukazanie się książki gen. Dowbora, mieszczącej dużo fałszów, nakłada na mnie jako b. szefa prasy i informacji na I Korpus Wschodni i redaktora „Sumienia" obowiązek sprostowania. Sądzę jednak, że poziom książki zwalnia od rzeczowej polemiki. Dlatego uważałem, że w interesie prawdy najcelowiej jest zwrócić uwagę czytelnikom na ten poziom, posilkując się cytatami z książki.

Tyle najzwięźlejszych wyjaśnień, aby zrozumieć właściwy temat, o którym mam pisać.

Zagadnienie mentalności

Gen. Dowbor, podając do wiadomości Korpusu wyrok Sądu Polowego w mojej sprawie, podał, że nie zwalnia od odpowiedzialności Barthy (Barthla de Weydenthala), Kortyny (Lisa Kuli) i Matuszewskiego, wzywa do doniesienia o ich miejscu pobytu i twierdzi, że „byli to nie Polacy, a łotry działający za czyjeś pieniądze".

Od tego czasu poczyna się długa historja usiłowań załatwienia tego niesłychanego oszczerstwa.

Przedewszystkiem posłałem po wyjściu z więzienia do gen. Dowbora dwóch ludzi — dr. Orgelbranda i chorążego Sołtyka, którzy zażądali wyjaśnień co do sławetnego rozkazu. Gen. uchylił się od traktowania sprawy jako z mymi przedstawicielami, uważając się za mego zwierzchnika, ale tem niemniej wyjaśnił powody dla których pisał o łotrach, działających za pieniądze. Mianowicie: że Bartha ma niemieckie nazwisko, że gdy prosił Niemców, aby aresztowali Barthę ci się od tego uchylili i że kiedy doniósł Niemcom (!), że ukrywa się u niego Bartha, ci nie reagowali.

Kiedy wszyscy znaleźliśmy się w Polsce, w imieniu spotwarzonych udali się do generała z żądaniem zadość uczynienia dr. Loria i por. Lechnicki. Ale gen. Dowbor odmówił, motywując „liczę (szczitaju) klijentów Panów za tchórzy", bo rzekomo uciekli, nie zameldowawszy się generałowi.

Wobec tego pp. Loria i Lechnicki spisali protokół jednostronny.

Niebawem Lis poległ, Barthel de Weydenthal poległ, mimo to generał nie pośpieszył ze sprostowaniem ciężkiego oszczerstwa. Opublikowałem w „Głosie Prawdy" fotografję z meldunku, z jakim zgłosili się po nieudanym zamachu do rozporządzenia generała Bartha i Lis. Kłamstwo generała było jasne. Generał ograniczył się publikowaniem feljetoniku pełnego wątpliwych dowcipów wymierzonych we mnie, ale w tej zasadniczej sprawie nie reagował.

Przeszły lata. Najgorzej zakuty łeb zrozumiałby wreszcie kim byli spotwarzeni ludzie. W Rzeszowie stanął pomnik Lisa-Kuli i z tej okazji wydał książkę mjr. Lipiński, którą poprzedziła wstępem Pani Marszałkowa. To dało asumpt gen. Dowborowi do rozsyłania głupawego memorjału pełnego inwektyw, w których pomawia, że chciano się zasłonić Panią Marszałkową, bo wiadomo, że on jest rycerski dla płci pięknej, że ataki na niego, Dowbora chybiły, bo Lis został, a kula chybiła i t. p. niewiarygodne bzdury.

Było to w dwanaście lat po śmierci spotwarzanych i ogół posłów, dziennikarzy i działaczy społecznych, którzy otrzymali memorjał (jest do obejrzenia choćby w bibljotece uniwersyteckiej) zachodził w głowę, jakiego to typu mentalność może być sprawczynią tak niewiarygodnych popisów.

Generalska autobiografja

Odpowiedź na to daje książka, jaką właśnie wydał gen. Dowbor p. t. „Moje Wspomnienia". Książka, licząca wraz z przypisami 172 strony nie szczędzi narodowi uwag moralnych, cennych aforyzmów i zbawiennych rad:

„Niewola, wpływy zaborców, szczególnie robota pp. od międzynarodówki zaszczepiły nam pierwiastek materjalizmu; patrjotyzm znika". — „Czem się różni demokrata od chama, nikt mi tego nie potrafił wyjaśnić". Generał nie jest zadowolony z Polaków: „Pewien wybitny Rosjanin tak scharakteryzował Polaków: — „Nie znosicie wędzideł i stale jesteście gotowi do buntów". Definicja ta wydaje mi się słuszną. Opinja o wiecznej gotowości naszej do awantur utrwaliła się dość mocno z naszej historji oraz z literatury cudzoziemskiej. Nie było rewolucji w świecie, w którejby Polacy nie brali udziału". W książce jest pełno rozwiązań zbawiennych na jakie kto zapragnie tematy — sprawa żydowska, ukraińska, socjalna, sprawy ustrojowe są rozstrzygane z iście Cyceronową prostotą (jak miał określić styl Dowbora Paderewski). „Chcąc zrobić coś dla ludzkości lub dla państwa dość posiadać zdrowy rozsądek. Mogę się nim pochwalić" rekomenduje się generał. Wobec tak zachęcającej autoreklamy warto się wczytać w żywot tego męża stanu.

Dzieciństwo patrjoty

Zaiste, żywot to spartański. Urodzony w Sandomierskiem, wykarmiony był przez prostą wieśniaczkę, Marję Kwapiszównę (Słownik Bibliograficzny — uwaga!). „Posiadane zalety i wady oczywiście przyjąłem w znacznej mierze także od niej; ponieważ pochodziła z ludu, nabyłem też wiele jego cech". Matka miała zbawienne zasady pedagogiczne: „Zabijajcie się nawet, ale nie przysparzajcie rodzicom kłopotu". Wnosić z tego można, że nie byłaby specjalnie zakłopotana, gdyby przyszły statysta łeb skręcił.

Rżniątkę mały Dowborek obrywał jak się patrzy. Zalokowany został na stancji szkolnej u moskala(!), który „wymusił na ojcu przywilej dawania mi w skórę, z którego, niestety, nieraz korzystał".

Po roku umieszczono go na stancji u „urzędniczyny gubiernskawo prawleńja". Widać ojciec był konsekwentny w dobieraniu atmosfery. Czy urzędniczyna bił w skórę nie dowiadujemy się, ale wśród pewnej części biografów powstanie niewątpliwie hipoteza, że bił po głowie, bo z powodu złych postępów trzeba było odebrać Dowbora z gimnazjum w Radomiu i wieźć do Petersburga, bo tam wynaleziono taką szkołę wojskową, w której, jak z rozczulającą prostotą wyznaje pamiętnikarz „zamiast greki była dyscyplina".

Nie bardzo to się podobało sąsiadom w Sandomierskiem: „ja byłem już drugiem dzieckiem z tej samej rodziny, oddanem do służby w wojsku rosyjskiem, więc zakrawało to jakby na manję rusofilstwa. Oddanie mnie do rosyjskiej szkoły wojskowej uważano niemal za zdradę narodową; potępiano nietylko rodziców, ale i nas samych. Dlatego też stosunki sąsiedzkie z nami podtrzymywano wprawdzie, ale w sposób oziębły. Co prawda, mało nas to wzruszało. Ponieważ zaś niektórzy sąsiedzi nie powstrzymywali się od głośnego wypowiadania swoich poglądów, na tem tle wynikały nieporozumienia".

Młodość dobrze odkarmiona

Istotnie mogło to mało obchodzić Dowbora, bo po skończeniu szkoły, wówczas, kiedy młody chłopak najgoręcej czuje, już nie widzi potrzeby zaglądania do Polski. Do 1886 r. jeszcze czytuje nadsyłaną przez ciotkę „Biesiadę Literacką". Potem przez trzydzieści lat nie mówi po polsku, urlopów nie spędza w kraju (ta obojętność chłopaka, który wyjechał z Polski już w zaawansowanym wieku, jest fenomenalna) i zapomina zupełnie mówić po polsku. Pociesza nas jednak, że X. Józefa zwano „niemieckiem książątkiem" oraz wskazuje na Henryka Dąbrowskiego „ożenionego z Niemką i mówiącego fatalnie po polsku".

Przyszłemu X. Józefowi lepiej się podoba w kadeckim korpusie, niż w gimnazjum w Polsce, bo wprawdzie trzeba było „brać udział w nużących cerkiewnych ceremonjach", ale „karmiono obficie, nawet wykwintnie".

Kalwin wiernopoddany

Kiedy Dowbor chce się dostać do Akademji Sztabu Jeneralnego, „w roku 1890 złożyłem raport, by mnie od tej daty uważano za kalwina". W tem miejscu „cyceronowy styl" posilkuje się mówieniem „sub rosa".

Widać zwierzchność umie ocenić to samozaparcie, bo już w 1903 r. młody renegat otrzymuje funkcję policyjną, mało dla wojskowego zaszczytną, ale świadczącą o wielkiej dozie zaufania ochrany. Zostaje mianowicie odkomenderowany „w celu uzgadniania rozporządzeń władz cywilnych, duchownych i wojskowych" na uroczystości kanonizacji jakowegoś Serafina w Sarowskiej „Pustyni", na którą przyjechał car.

W 1905 r. — hocus pocus — już jest dziecko, ale z kim się zdążył ożenić, dzielny kalwin nie mówi nawet „sub rosa", mimo, że w narracji ma czas na opisywanie nawet mamki.

Przed wojną przenoszą gen. Dowbora do Łucka, a więc na nasze kresy, gęsto zasiedlone przez dwory polskie. Ale żadnego śladu stosunków z Polakami niema. „Rzadko miałem sposobność mówić po polsku. Stan ten trwał z górą 30 lat aż do powrotu do Polski". Natomiast są ślady rozmów z „chochłami", którym tłomaczy, że „teraz Ukraińcy muszą się czuć dobrze, **ponieważ nie gnębią ich Lachy, a cesarz dał ziemię,** więc w razie wojny z Austrją powinni się chętnie bić".

W czasie wojny gen. Dowbor posuwa się dosyć prędko w karjerze służbowej. Władze nawet zastanawiają się, czy mu nie powierzyć dowództwa nad jedną z formowanych dywizyj doborowych, które via Archangielsk miały być przetransportowane do Francji. „Szkoda, że nie pojechałem, bo dywizje wysłane do Francji po wybuchu rewolucji w Rosji nie zbuntowałyby się. Zbuntowali żołnierzy pp. socjaliści. Dziwię się, że nie wstyd było im robić coś podobnego na własnej ziemi."

Zamiast do Francji, zostaje wysłany na turecki front. **„Nie posiadałem odpowiednich jucznych transportów. Poradziłem sobie w ten sposób, że stworzyłem je z tureckich kobiet, które się dostawały do naszej niewoli po każdym ataku".**

Rządy kamarylli dworskiej z Rasputinem i Suchomlinowem na czele doprowadzają szlachetnych Rosjan do rozpaczy. Ale gen. Dowbor jest innego zdania. Suchomlinowowi nie szczędzi zachwytów w różnych miejscach książki, tak jak i słynnemu „uśmiritielowi" gen. Mellerowi („Pozostawił po sobie dużą niechęć do strajków — strajkujących bez pardonu rozstrzeliwał" — pisze z zachwytem gen. Dowbor). Jaki ma stosunek do Rasputina, nie pisze. Sądząc jednak z czynnej współpracy przy kanonizacji „błażennawo Serafina" — zapewne nie ujemny.

To też kiedy Książe Wiaziemski, członek starej, jednej z najbardziej historycznych rodzin rosyjskich „zwrócił się do mnie z poufnem zapytaniem, jakbym ja, jako dowódca dywizji, zareagował, gdyby usunięto Cesarza (cesarz wszędzie w pamiętnikach pisany jest z dużej litery)" — wzorowy janczar, Dowbor, odpowiada: „stanowczo wystąpię w jego obronie, nie oglądając się na nic i nie czekając rozkazu".

Dowódca polskiego korpusu

Kiedy jednak to się stało, gen. Dowbor, jak i inni „katolicy" chroni się do formujących się oddziałów polskich i otrzymuje dowództwo korpusu. Chwila jest ciężka, umysły ludzkie zdezorjentowane i nawet człowiekowi dobrze zorjentowanemu w stosunkach nie łatwo by było dać z tem wszystkiem radę. Zastanawia jednak kontenans, z jakim gen. Dowbor rozprawia się z okolicznościami i z ludźmi otaczającemi. Ci ludzie domagali się, aby formował wojsko dla walki z Niemcami, nie bawił się zaś w etaty, mustry, tabele rang i t. p. bo na to czasu nie ma. Te ich dążenia są w pamiętnikach określone „stylem cyceronowym" tak oto: „Kwitła w szeregach agitacja przeciwko mnie, bo nie chciałem uznać „ideologji Piłsudskiego", a później „konieczności walk z Niemcami" (rzekomo w obronie honoru narodowego). „W tymże kierunku działali miejscowi żydzi". Patrjotyczne środowisko „Związku Broni" przemianowane następnie na P. O. W. określa jako środowisko „łazików, socjal-patrjotów", a z zarzutami tego środowiska, że w Korpusie działy się nadużycia finansowe rozprawia się krótko: „Kradli rzeczywiście, ale nie Korpus, który był jednostką zdyscyplinowaną, a właśnie ci panowie".

Sędzia surowy

Nikt nie znajduje w oczach gen. Dowbora uznania. „Płk. Żeligowski wykazał swą nieudolność... Talentów żadnych nie wykazał..." Poległy płk. Mościcki „chciał być mądrzejszy od swego zwierzchnika", Raczkiewicz „chorował na manję wielkości, trzymał przy sobie świtę do reprezentacji", Matuszewski „udawał skruchę" i „postępował nie po rycersku", Wańkowicz „za rosyjskich rządów zadzierał z władzą, ale na tyle ostrożnie, żeby nie trafić do katorgi" (zarzut zabawny w ustach rosyjskiego generała, który nawiasem mówiąc, w innem miejscu książki staje w obronie katorgi, która „polegała tylko na pozbawieniu wolności słowa i czynu; podobnie postępuje dzieindziej na kuli ziemskiej"). Inni też byli o „niewyraźnych dążeniach. To chcieli objąć przy mnie role politycznych mentorów, to powoływali się na Piłsudskiego i żądali uznania jego autorytetu. Wszyscy oni zarozumiali, nieszczerzy, bez wykształcenia. Do liczby tych zaliczam p. Bagińskiego Henryka, pragnącego objąć wydawnictwo regulaminów (na czem się nie zna)... małżonków Hubickich, Lisa, Barthę i wielu, wielu innych". Bartha był to „młodzieniec okazały z twarzą blagiera... Sprawił na mnie wrażenie źle wyszkolonego rekruta. Stukał piętami, wykręcał się i rzucał głową, niczem narowisty koń". Lis „będąc Piłsudczykiem, mógł nabyć ekspęrjencji tylko w szeregach legjonów, lub austrjackiej armji, stale bitej. Nie była to zachęcająca rekomendacja". A wokóle „przewrót w umysłach robili ci, którzy „najstaranniej dążyli do tego, aby nie trafić pod kulę".

W słowach mocny

Sam zamach opisuje gen. Dowbor, popełniając kłamstwo po kłamstwie. Przedstawia sprawę tak, jakbyśmy aresztowali go na przelotną chwilę, podczas gdy był uwięziony przez całą noc, że Bartha wpadł blady do gabinetu, wołając „ratuj generale", (a przecież sam mówi, że mu się nie zameldował po zamachu?), że Gielniewski, mój zastępca w wydziale propagandowym zastrzelił się, oświadczając, że „jako prawnik i oficer nie mogę przeżyć tego, że dałem się wciągnąć do buntu przeciwko dyscyplinie i swemu dowódcy", podczas, gdy Gielniewski, na którego śmierć patrzałem, kazał oświadczyć generałowi, że się zastrzelił, bo jako żołnierz, ślubujący z Niemcami walkę, ma jedno słowo, nie dwa, jak generał (ciekawe, że ciało Gielniewskiego pochowano w najgłębszej tajemnicy. Dlaczegoż generał odmówił honorów wojskowych swemu wiernemu podwładnemu?). Wreszcie, że Wańkowicz „miał płomienną mowę do junkrów, namawiając ich do wystąpienia przeciw karności. Pociągnął za sobą tylko kilku..." (jakże więc kilku ludzi mogłoby w szachu trzymać przez całą noc cały korpus z panem generałem pod kluczem łącznie).

Ale wszak nie zależy na prostowaniu kłamstw generała Dowbora. Chodzi o przyjrzenie się na podstawie książki tej rozkosznej naiwności, ogłupiającemu sołdackiemu chamstwu, które w osiemnastym roku Niepodległego Państwa — gdy ustalily się pewne, zdawałoby się niewątpliwe wartości, jak śmierć Lisa, śmierć Barthla de Weydenthal, osoba Marszałka Piłsudskiego — nic nie cofa, nic nie koryguje i w dalszym ciągu rozumuje takimi kategorjami, jakby siedział u siebie w koszarach w Tambowie.

Filozof i statysta

„Stawiano mi zarzut, że uznałem władzę Rady Regencyjnej, bo była ukonstytuowana przez Niemców, a że nie uznałem autorytetu Piłsudskiego. — Z tego wniosek, że wszystko, co pochodzi od Niemców powinno być w Polsce w czambuł odrzucone. Poprowadźmy takie rozumowanie do ostateczności. Więc Radę Regencyjną powołali Niemcy, Rada powołała Piłsudskiego na Naczelnika Państwa, Piłsudski zwołał Sejm, który go mianował Naczelnikiem Państwa. Należy więc potępić obecne władze polskie, bo wzięły... początek od Niemców?!"

Zabawnie ta filozofja z koszar rosyjskich odnosi się do powstającej Polski. Wszystko mu się w tej Polsce nie podoba. Ubrany w cywilne ubranie, czuje się w niem nieswojo, bo „wiatr przez spodnie podwiewał pod szyję". Czuje się równie nieswojo w tej nowej polskiej skórze. W Galicji „wszyscy są gotowi do padania do nóżek i całowania rączek", wszyscy w niej „politykują, pięknie gadają, doktoryzują, parcelują i demokratyzują". W Warszawie niepotrzebnie wypuszczono Besselera, bo... powinien był wprzód wytłomaczyć się dlaczego rozbrojono korpus nieforlunnego generała. Niemców rozbroili Dowborczycy i „peowiacy nie mają co sięgać po pierwszeństwo; choć byli jako tako zorganizowani, ale byli nieliczni, składali się z elementów jednostronnie nastrojonych, nie wyćwiczonych, nie zdyscyplinowanych, nie przywykli walczyć z Niemcami" (a kiedyż to Dowborczycy walczyli?). Zresztą, „grawitowali ku socjalizmowi". „Członkowie P. O. W. więcej mieli do czynienia z polityką (czytaj obsadzanie posad), niż z wojskowością; dlaczego nazywali się organizacją wojskową, to jest już ich sekretem". Geneza naszych walk wolnościowych przedstawia mu się mniej więcej tak, że np. demonstracja na pl. Grzybowskim „odbyła się za poduszczeniem żydów; Rosjanie drwili z tego powodu, że Polakami mogą kierować tylko żydzi". Dochodzi do przekonania, że „przyczyną buntów 1905 r. byli tchórze, którzy pragnęli uniknąć frontu i aferzyści, płonący rządzą robienia dobrych interesów w czasie rozruchów". Nie martwi się ostatecznie tą rewolucją, gdyż jej wynik „zbliżył szersze masy do caratu i wzmocnił dyscyplinę w armji", ale ubolewa, że „za eksperyment międzynarodowych oszustów zapłaciło życiem tysiące ludzi". Jeszcze w Radomiu zauważył, że „grawitujący do socjalizmu, należeli do młodzieży o powierzchownych poglądach (do nieuków)" (ależ w takim razie gen., sądząc z własnej autobiografji, powinienby być leaderem radomskim). Obecnie w kraju stara się z mozołem pogłębić swoje studja socjologiczne: „co to jest międzynarodówka, w szczególności zaś druga, lub trzecia międzynarodówka? Dlaczego nie mówi się nigdy o pierwszej? Czy trzecia międzynarodówka jest ostatnim etapem i osiągnęła najdoskonalszą treść? Jeśli nie, co jest pewnikiem, to czy nie nastąpią: czwarta, piąta i... dalsze międzynarodówki? Nikt mi, niestety, nie dał wyczerpujących odpowiedzi".

Nie otrzymawszy odpowiedzi, dzielny generał sam rozwiązuje sprawę: „sprawa podziału społeczeństwa na klasy jest absurdem", bo wówczas „ludność kuli ziemskiej musiałaby się podzielić na klasy: inżynierów, nauczycieli, astronomów, aktorów, robotników i t. d."

W ten sposób uporawszy się z doktryną, „muszę z kolei rozpatrzyć kwestję socjalizmu t. zw. polskiego". Tu już następuje takie „brekekeks", („partja ta nietylko współdziała z socjalistami innych krajów w nieznanym mi bliżej celu, ale pobiera od bogatych zagranicznych współwyznawców pieniądze. Wątpić należy, czy je dawali i dają dla pięknych oczu biedniejszego odłamu wielbicieli Marksa?" i t. d. i t. d.), że nie czuję się go na siłach streszczać. Utrudzony, ale tem niemniej rad z siebie socjolog, łaskawie przypuszcza, że „może taki koryfeusz socjalizmu, jakim jest, jak wiadomo, w Polsce Daszyński, potrafiłby lepiej wyłożyć swoje zasady i dążenia".

Panie generale! — to już tylko zbytek skromności. Lepiej niktby nie wyłożył.

Obywatel wolnej Polski

Jak w Korpusie dolegali mu wszyscy, tak dolegają mu w Polsce. Posłowie sejmowi kradną łyżki, prezydent tego państwa, w którem się znalazł „sprawiał wrażenie Zołzikiewicza i nie mówił, lecz beznadziejnie ględził" (nic podobnego nie ma np. o Mikołaju II). Witos „czcigodny chłopek przekonał się, że odpowiedniejszem dla niego zajęciem siać rzepę, aniżeli kierować państwem", Julian Stachiewicz skupuje nielegalnie jakieś skóry, gen. Haller, podejrzewany przez Dowbora jakiś czas o bolszewizm, wraz z Piłsudskim „w dziedzinie wojskowości mogliby się wiele u mnie nauczyć, gdyż ja nie mam nic do zapożyczania od nich".

Kandydat do wielkości

Stosunek do Marszałka Piłsudskiego jest stuszowany jakąś wewnętrzną cenzurą, zapewne przyjaciół politycznych Dowbora. Zapewne mieli krwawą pracę z doprowadzeniem tej abrakadabry do porządku. Istotnie osiągnęli, że książka nie ma zbyt wielu rusycyzmów, aczkolwiek skład zdań nieraz jest czysto rosyjski. Gorzej było z treścią. Kto wie, przez ile filtrów musi przechodzić korekta książki (rękopis, maszynopis, odbitka szpaltowa, pierwsza korekta, druga korekta, odbitka kolumnowa, rewizja), zdumieje się zapewne, widząc w książce liczne białe miejsca. To już wówczas, kiedy szła maszyna, zrozpaczony cenzor — przyjaciel przylatywał zapewne i wydłubywał szydłem jeszcze jakieś, przepuszczone przez te wszystkie filtry ekstrawagancje.

Ale mimo to pamiętniki dają soczysty obraz stosunku do pierwszego marszałka Polski. W czasie wojny rosyjsko — japońskiej, japończycy rozrzucali odezwy z rysunkiem, na którym do „pająka rosyjskiego" (pewno polipa, panie generale) strzelał „wcale udatnie oddany Polak w konfederatce, przyczem mógłbym twierdzić, że sylwetka jego przypominała głośnego działacza doby obecnej" (zabawna jest w tem miejscu delikatność — Dowbor uważa, że podanie przy tem miejscu nazwiska Marszałka zbytby już może go zhańbiło).

Zapytywany przez władze rosyjskie o możliwości powstania polskiego (cóż za rozczulające zaufanie do fachowca wszak pono tylko wojskowego — to ochrania kanonizację Serafina, to informuje o polskich nastrojach) gen. Dowbor uspokajał je, że „w masie narodu może znajdzie się kilkudziesięciu ludzi, którzy zechcą spróbować wzniecić powstanie, ale realnego wyniku nie osiągną. Opierając się na danych, które obecnie, gdy piszę ten pamiętnik, posiadam, nie myliłem się. — Ruch strzelecki w Galicji przetworzył się w legjony, te zaś mogły zorganizować po długich zabiegach ledwo trzy chude brygadki". Generał z powodu kryzysu przysięgowego uważa, że „na takie esy floresy może sobie pozwolić polityk, ale nie wojskowy".

„O Piłsudskim wiedziałem tyle, co dowiedziałem się z kontrwywiadu rosyjskiego. Wiadomości te nie bardzo zachęcały do uznania go za człowieka, któremu możnaby powierzyć losy Polski".

„W talenty strategiczne Piłsudskiego uwierzyć nie mogłem. Rozumiem, że mógł mieć do mnie niechęć, bo przyznać mu na kredyt talentów i doświadczenia wojskowego nie mogłem..." To też Marszałek, wstydząc się fachowego kolegi „niestety, nie patrzył mi w oczy. Ja przyzwyczaiłem się w wojsku postępować odwrotnie".

Dowbor czuje się zupełnie nie w mniejszej mierze niż Marszałek nowołanym do objęcia rządów w Polsce. Delegacji z Ks. Oraczewskim, wtajemniczającej go w przygotowywany zamach odpowiada, że „jeżeli zamach się uda, a mnie powołają, to stanowisko (ministra wojny) obejmę". Kiedy mu Poznaniacy, przy formowaniu się państwa proponowali objęcie dyktatury (szkoda, że nie pisze kto — może znowu ktoś tak poważny, jak X. Oraczewski), oznajmia: „byłbym może zgodził się na proklamowanie dyktatury, ale był już ogłoszony dyktator w Warszawie w osobie Piłsudskiego".

A szkoda. Są pewne dane, że ten dyktator miałby posunięcia w dziedzinie międzynarodowej pełne świeżości („W czasie pertraktacji z Niemcami podsunąłem taką myśl: niech Wilhelm II proklamuje złączenie wszystkich trzech dzielnic Polski i ogłosi się królem polskim, pozostając królem pruskim i cesarzem niemieckim. Będzie mógł wówczas dyktować swoją wolę całemu światu").

Zakończenie i wniosek generalny

Najlepsze jest zakończenie książki: autor prosi o wybaczenie mu przez swych współtowarzyszy tego wielkiego błędu, że nie narzuciłem Polsce ustroju, który odpowiadałby naszym ideałom. — Realne do tego możliwości posiadałem; wtedy miałbym i ja możność nagrodzenia Was. Stało się inaczej...

W pewnem miejscu książki autor żali się, że gdy wrócił do Polski, „starano się go ogłupić". „Nie [illegible] transportów. Poradziłem sobie w ten sposób, że stworzyłem je z tureckich kobiet, które się dostawały do naszej niewoli po każdym ataku".

SKANDAL NA KATOLICKIM UNIWERSYTECIE LUBELSKIM

Masowe represje w stosunku do młodzieży

Zamieszczając nadesłaną z Lublina korespondencję, pragniemy zaznaczyć, że uważamy sprawę za posiadającą znaczenie zasadnicze, to też powrócimy do niej w następnym numerze.

Redakcja

Lublin, w marcu.

W Alejach Racławickich Lublina, w nowoczesnej dzielnicy miasta, stoją ciężkie mury czworokątnego masywu. Gmach ten należał do wojska. Marszałek Piłsudski oddał go hojną ręką dla organizującej się uczelni. Powstał Katolicki Uniwersytet Lubelski. Uniwersytet w roku 1934 otrzymał prawa państwowych szkół. I oto obecnie na terenie uniwersytetu zaszły wypadki, które muszą zastanowić, muszą postawić sprawę uczelni tej w rzędzie zagadnień poważnych.

Najliczniejszą i najpoważniejszą organizacją młodzieży państwowej w Lublinie jest Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Od roku 1933 organizacja ta jest systematycznie atakowana przez władze uniwersyteckie. [illegible] pierwszych takich ataków było rozwiązanie Z. P. M. D. na terenie tej uczelni — co zresztą żadnego skutku nie odniosło. Ostatnio, lecz już wychodzący poza wszelkie dopuszczalne granice, są nowe represje, zastosowane w stosunku do tej grupy młodzieży. Represje, jakich świadkiem nie był chyba żaden uniwersytet w Polsce. Oto senat ukarał 40 studentów. Jednego usunął całkiem z uczelni, dwum unieważnił bieżący rok studjów, a pozostałych pozbawił praw studenckich na terenie wszystkich organizacyj akademickich. Represje powyższe spadły bezpośrednio po przeprowadzonych wyborach do władz Bratniej Pomocy. Ukarani zostali wszyscy kandydaci do władz Bratniaka i w ten sposób została praktycznie unieważniona „lista demokratyczna", [illegible] zdobyła przy tych wyborach mandaty. Pozostała na placu [illegible] młodzież endecka.

Powodem tych niezwykłych represyj formalnie stała się ulotka wydana przez Z. P. M. D. w formie 10-cio stronicowej broszurki. W ulotce tej w jednym z artykułów w formie felietonu zostało zobrazowane zebranie walne Bratniaka, na którem młodzież endecka stawiała niektóre wnioski w atmosferze niepoważnej i zgoła nieodpowiedniej. M. in. wniosek, aby uczcić a k a d e m j ą papieską, odbywającą się równocześnie na innej sali, to znowu wnioski w sprawie pielgrzymki na Jasną Górę. Jeden zaś ze studentów domagał się subsydjów dla Akadem. Związku Sport. dlatego, że papież podobno miał wynaleźć czy stworzyć grę rugby.

Te oto trzy fragmenty przedstawione po ubraniu w satyryczną formę w omawianej ulotce posłużyły władzom K.U.L. za pretekst do zastosowania tak niespotykanych i masowych represyj wobec grupy dla siebie nieprzyjemnej. Pretekst pozostanie zawsze tylko pretekstem.

Interesująca jest natomiast inna strona medalu. Poważna, zasadnicza. Przykład z tym studentem i jego naiwnym argumentem w sprawie subsydjum dla A.Z.S. — to jeden świat — ukarani to świat drugi. Rzecz sprowadza się do zapytania, czy [illegible] ma się starannie pielęgnować ten świat pierwszy, czy ma się nakładać tego rodzaju obcęgi myśli, przy których głupota byłaby czynnikiem budzącym zadowolenie władz uniwersyteckich? Świat wykpiony w ulotce to świat specyficzny, nie mający jednak nic wspólnego z identyfikacją prawdziwej kultury katolickiej. Czy naprawdę lubelska uczelnia, przynajmniej w [illegible] opinji społeczeństwa, ma zrezygnować z ambicji [illegible] uniwersyteckości. Tam gdzie takich [illegible] występują tego rodzaju represje, tam kończy się uniwersytet, a zaczyna parafjalna szkółka.

Całej tej sprawie towarzyszyły ciekawe okoliczności, wybitnie polityczne. Grupka endeków wraz z wyraźnie firmowanym partyjnym stemplem dodatkiem swym przy miejscowym organie endecji „Głosie Lubelskim" (ma specjalną rubrykę na uniwersytecie) naprzód zażądała usunięcia z Uniwersytetu Z. P. M. D., jako przeciwników politycznych. I oto głos młodzieży endeckiej przekonał senat akademicki. Zapadł wyrok, który dotknął sporą część grupy młodzieży państwowej, młodzieży silnie ideologicznie związanej z całym obozem pomajowym, młodzieży związanej z dzisiejszą rzeczywistością zbyt mocno, by wyrok ten mógł mieć znaczenie tylko wewnętrzne uniwersyteckie. Sprawa ta nie może w opinji [illegible] stanowiąca.

Mogą odbywać się tam na lubelskiej uczelni dziesiątki akademij, można nawet czasem zapomnieć o pierwszeństwie hymnu państwowego na akademji, można na walnem dorocznem zebraniu Bratniaka nie zdobyć się na tradycyjne [illegible] uczczenie największego z Polaków współczesności, nie wolno jednak karać masowo i represjonować wszystkich tych, którzy mają odmienne poglądy na te sprawy.

Uczelnia ma prawa państwowe i dlatego pewne ogólne - państwowe normy i przekonania muszą być uszanowane. Zarówno studenci, jak władze uczelniane, muszą wiedzieć, że będąc na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim nie przestali jeszcze być w Polsce.

DROGI I BEZDROŻA

Nad Warszawą mgły

Raptowne załamanie się systemu rządowego płk. Sławka spowodowało coraz bardziej wzrastający zamęt w politycznie czynnych kręgach naszego społeczeństwa. Le désordre règne à Varsovie — przynajmniej w umysłach i w odczuwaniach, jeśli nie po ministerjach i w ciałach parlamentarnych. Położenie rządu jest zarazem i dogodne i trudne. Dogodne, ponieważ dotychczas nie występuje przeciwko niemu ławą (poza endecją) masowa, zorganizowana opozycja. Trudne, ponieważ rząd nie dysponuje poparciem zorganizowanego obozu w społeczeństwie, operuje w gęstej mgle, przy jakiejkolwiek inicjatywie nie może przewidzieć, jak odniosą się do niej stada sprywatyzowanych polityków. Po r. 1926 istniały w Polsce dwa wyraźne, ograniczone obozy, raczej zresztą konglomeraty ugrupowań politycznych, które swego czasu „Przełom" określał, jako Obóz Państwa i Obóz Sejmu; do każdego z nich weszły bądźto dotychczasowe stronnictwa i grupy, bądź też ich odłamy, przytem jednolite kierownictwo i oparcie o wielką postać Marszałka, zapewniały zgóry Obozowi Państwa zdecydowaną przewagę nad opozycją i możność realizacji wszystkich zamierzonych celów. Dzisiaj jednak z owego układu sił pozostały tylko szczątki; nie istnieją już w tej samej postaci obydwa wspomniane konglomeraty, a rozwój sił społecznych nowej Polski nie wszedł jeszcze w normalne łożyska. Dzisiaj dla zrozumienia pragmatyzmu wypadków, trzeba z latarnią w ręku chodzić po Polsce i szukać zarówno sił rządzących, jak i sił opozycyjnych, których kontury dopiero zaczynają wyłaniać się z mgły, wiszącej gęsto nad Warszawą i nad całym krajem.

Dopiero co p. Mackiewicz z żywem zadowoleniem mógł stwierdzić, że — zdaniem jego — gabinet p. Kościałkowskiego nie ma oparcia w sejmie — popierają go jeszcze — zdaniem jego Cat'owskiej mości — tylko chwilowo i ze względów taktycznych „Naprawiacze". Inni — dla tem większego skompromitowania miłościwie rządzącego gabinetu — dorzuciliby do parlamentarnego mianownika czynników prorządowych, jeszcze i konserwatystów, chyba tych krakowsko - warszawskich, a nie wileńskich. Sam rząd, jak wynikało z deklaracji p. premjera na Zjeździe Peowiaków — chętnie oparłby się na organizacjach społecznych, zwłaszcza kombatanckich, ale na tym terenie natrafia już na zagęszczenie mgieł, które mu uniemożliwi szybkie wyjaśnienie sytuacji. Toć i w otoczeniu p. Sławka nie wygasła jeszcze miłość do.... Zosi (t. j. do koncepcji związku organizacyj społecznych); niepokoi wprawdzie troskliwych mości pułkowników anemja Zosi, nabyta w niezdrowej jesieni i w mglistej zimie, ale liczą jeszcze na to, że biedactwo nabierze rumieńców życia w klimacie... wiejskiej ulicy.

Tyle ciekawego, lub nieciekawego możemy chwilowo powiedzieć o... ugrupowaniach prorządowych (o sobie źle mówić nie chcemy). A teraz ciekawszy temat... opozycja. Baczność, w górę latarnie... szukamy opozycji w Polsce!..

Uwaga na prawo!

Czy robotnicy strajkujący na Zachodzie i w „Polsce B", młodzież blokująca politechnikę, energumeni z... Przytyka i t. d. są synonimami sił opozycyjnych Polski współczesnej, występujących przeciwko rządowi prezydenckiemu? Przedwczesną byłaby pozytywna odpowiedź na tak sformułowane pytanie. Masy społeczne w Polsce aktywizują się. Ale — poza klasą robotniczą, której związki zawodowe nadają zdecydowaną orjentację polityczno - społeczną i polityczno-gospodarczą — chaos, panujący w stadach polityków uniemożliwia jeszcze ostateczne skrystalizowanie masowych obozów społecznych. Tem większą uwagę należy zwrócić na indywidualne wystąpienia bądź to fachowych polityków, bądź też i szarych ludzi, wciągniętych do odbywającego się dziś na naszym nieboskłonie krążenia mgławic. Nawet nieciekawe skądinąd wystąpienia „szarych parlamentarzystów" z dzisiejszego sejmu i senatu na tem tle mogą nabierać pewnego znaczenia. N. p. „rytualne ubijanie" rządu przez posłankę Prystorową z miną świątobliwego rzezaka, potrząsającej nożem nad głową p. Poniatowskiego... a jakże!

Uwaga wasza, obywatele, ci z wysokich krzeseł rządowych i ci od małego warsztatu pracy, którzy chcecie ponosić nadal współodpowiedzialność z całym obozem Niepodległości za dalszy rozwój państwa — musi być skierowana na prawo! Tam bowiem nieprzerwanie odbywa się proces konsolidacji, który stanowi niezbędny wstęp do próby opanowania Polski przez siły reakcji.

Pomimo endeckiej niegrzeczności, która ma dobre uzasadnienie w wymogach natury taktycznej, czynniki reakcyjne, wciągnięte swego czasu przez płk. Sławka w orbitę obozu rządów pomajowych (przyznajemy zresztą lojalnie, że nastąpiło to z woli Komendanta), nadal gwałtownie zacierają linje demarkacyjne, odgradzające „sanację" od starych i młodych anarchonacjonalistów. Ot, znowu ksiądz Plater-Zyberk ogłosił w „Czasie" manifest, zachęcający „sanację" i „endecję" do zlania się w jeden obóz reakcyjny. Ten czcigodny jegomościunio nie widzi już żadnych istotnych różnic między po swojemu pojmowaną „sanacją", a między obozem Romana Dmowskiego, tak samo jak nie widzą ich np. pp. Stahl i Hrabyk z lwowskiego „Dziennika Polskiego". Dlaczegóż więc nie miałyby skonsolidować się na szerszej płaszczyźnie „Zjednoczenia Polskiego", dla walki — oczywiście — z bolszewizmem, no i z masonerją też?.

Ks. Plater - Zyberk szczerze wypowiedział ten sentyment, który jest powszechny w szerokich kołach reakcyjnie myślącej części naszego społeczeństwa (poza nielicznymi tylko zagorzałymi partyjniakami ze „Stronnictwa Narodowego", którzy, owszem chcieliby czegoś podobnego, ale nie za cenę wyrzeczenia się sukcesu własnej partji). Stąd też energiczny atak ministra Raczkiewicza na to ostatnie stronnictwo, poparty przez szerokie grono senatorów pod wodzą prof. Michałowicza, Bobrowskiego i Wojtko-Malinowskiego, wywołał tak silny sprzeciw w kołach polityków reakcyjnych, w głosach np. „wiekowego Polaka", p. Cieńskiego z Podola, a w senacie p. Fudakowskiego. Nie wszyscy tylko zdobywają się na tę szczerość, na którą jegomościunio mógł sobie pozwolić, jako typowy „outsider". Inni wolą „udawać greków"... z endecją nigdy ich nic nie łączyło! Uchowaj Boże, „całus i nic więcej..."

Szczery jest p. Cat - Mackiewicz, kiedy głośno marzy o pięknej możliwości obalenia gabinetu p. Kościałkowskiego przez sejm i senat w których — jak zapewnia — rząd nie ma większości, a w których, zdaniem marzyciela mogłaby się wykrystalizować większość reakcyjna. P. Mackiewicz widzi nawet chorążego tej większości w osobie prof. Kozłowskiego. Zupełnie zresztą słusznie redaktor organu żubrów z puszcz litewskich punktuje reakcyjne momenty w programie gospodarczym zwolenników skrajnego „równania w dół", atakujących nawet tak skromny „plan" ożywienia produkcji, jakiego rzecznikiem chce być minister Kwiatkowski. „W dół z podatkami", bo czynniki prywatne mogą przejmować funkcje państwa, oraz „kłaść przemysł", bo to jest przemysł żydowski — oto jak wygląda program polityki integralnie-deflacyjnej w ujęciu p. Mackiewicza. Zupełną ma on rację, sądząc, że taki program stwarza wystarczającą gospodarczo - polityczną płaszczyznę konsolidacji dla szerokiego obozu reakcyjnego z udziałem części „ruchu ludowego", całej konserwy i licznych kręgów endecji. Tylko p. Wierzbickiego trudno byłoby doszlusować do tak sformułowanego programu gospodarki żubrów, ale p. Wierzbickiego z całem jego akwarjum wciągnie się do „wspólnego frontu", ofiarując mu integralne zniszczenie ustawodawstwa i ubezpieczeń społecznych. No, możnaby mu jeszcze dorzucić na dokładkę likwidację robotniczych związków zawodowych!...

A „front ludowy"?

Poza chwalebnymi wyjątkami, jak p. Cat - Mackiewicz, koła reakcyjne nie chcą się jeszcze przyznać do swego opozycyjnego stanowiska wobec rządu, ściślej wobec tego systemu państwowego, w którym dyspozycja polityczna znajduje się w rękach Prezydenta R. P. I dlatego chciałyby odwrócić uwagę od siebie, wskazując na inne niebezpieczeństwo, na niebezpieczeństwo, jakie — ich zdaniem — grozi stabilizacji stosunków w Polsce ze strony „bolszewizujących" sił ludowych miast i wsi i ze strony „masonerji", panującej w demokratycznych kołach społeczeństwa.

Są to zresztą stare, dobrze nam znane rekwizyty z arsenału polskiej reakcji. Że je w tej chwili znowu wyciągnięto, tem nie potrzebujemy się szczególnie przejmować. Jeden tylko argument ma cechy świeżości, a mianowicie istotnie „komintern" od zeszłego roku zmienił taktykę i rezygnuje z własnej akcji politycznej w Polsce, deklarując lojalne poparcie akcji „Frontu Ludowego", złożonego z legalnych stronnictw i organizacyj robotniczych i włościańskich, oby ułatwić im dojście do władzy w Rzplitej. Świadczy to zresztą o defensywnej taktyce „kominternu", gdzie zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie wypłynęłoby dla Z. S. S. R. z opanowania Polski przez obóz reakcji ściśle współdziałającej z nacjonal-socjalistycznemi Niemcami. Już to stwierdzenie pozwala nam na wysunięcie wniosku, że osłabł w sztabach „kominternu" leninowski duch światowej wojny klas, zmierzający wszędzie do zaostrzenia antagonizmów w duchu „im gorzej, tem lepiej" i chcący strącić narody Europy na drogę rewolucji przez katastrofy. Dzisiaj „komintern" nie dąży zbyt do katastrofy w Polsce, politykę katastrofy uprawia obóz reakcji, zwłaszcza w swych „młodych" gałęziach. A pozatem także i „Goniec Warszawski" stwierdza, że zarówno P. P. S., jak i Stronnictwo Ludowe odrzuciły propozycje współdziałania, jakich od zeszłorocznego kongresu „kominternu" nie szczędzono im ze strony polskiej sekcji Trzeciej Międzynarodówki. Natomiast ostatni Zjazd Stronnictwa Ludowego przyjął nader umiarkowane rezolucje polityczne. „Ludowcy" gotowi byliby na współdziałanie z rządem za cenę zmiany ordynacji wyborczej i przywrócenia nieskażonego samorządu terytorjalnego, a więc za cenę posunięć, których potrzebę uzna każdy ideowy zwolennik oparcia Państwa o politycznie czujące masy ludowe.

Z tego wynika, że płaszczyzna antagonizmów między rządem Rzplitej a politycznemi organizacjami opozycji lewicowej, raczej zwęża się, wbrew tym wszystkim, którzyby pragnęli narośnięcia po tej stronie konfliktów, paraliżujących działalność rządu i ułatwiających koncentrację sił reakcyjnych i anarchonacjonalistycznych w społeczeństwie polskiem. Wprawdzie z drugiej strony wzrasta w zawodowych organizacjach świata pracy niezadowolenie z polityki gospodarczej rządu: najpierw z posunięć, które dały p. Kwiatkowskiemu żyro p. Matuszewskiego, a następnie ze zbyt wolnego odchodzenia od metod deflacji. Zarazem związki zawodowe uniezależniają się od stronnictw; proces ten odbywa się nietylko w związkach bezpartyjnych (Z. Z. Z.), bo tak samo dokonywuje się emancypacja t. zw.

związków „klasowych" od P. P. S. i Związków Z. Z. P. od N. P. R. Wątpliwy ekwiwalent dla P. P. S stanowi wzrost jej wpływów w organizacjach pracowników umysłowych pod auspicjami pp. Grygolajtysa i Zapastewicza.

Związki zawodowe uzgadniają program ś m i a ł e j polityki gospodarczej i przechodzą na płaszczyznę j e d n o l i t e g o f r o n t u robotniczo-pracowniczego. Odbywa się mobilizacja sił proletarjatu, ale nie przeciwko rządowi, tylko przeciwko ś w i a t u k a p i t a ł u, w którym czynniki o b c e splatają się z czynnikami „r o d z i m e j reakcji" (określenie Piłsudskiego). Związki zawodowe zdają sobie sprawę, że długo jeszcze nie będą mogły się kusić o objęcie — choćby razem z analogicznemi siłami wsi — w ł a d z y w P o l s c e; domagają się tylko, aby rząd Rzplitej solidaryzował się w myśli i w czynie — z reprezentowanym przez nie programem rozwoju i s t o t n y c h sił społecznych i gospodarczych Polski.

„Front Ludowy" w Polsce nie należy zatem do czynników, któreby mogły i chciały stworzyć w o b e c n e j sytuacji masową opozycję, dążącą do obalenia rządu. I dlatego rząd powinien zwrócić się ku swej p r a w e j stronie. Tam tylko wyrasta f r o n t w a l k i o przyszłość Polski. Walki, czynu i idei oczekujemy od rządu p. Kościałkowskiego, jeśli chce t r w a ć.

NOSTROMO.

W ROCZNICĘ ZGONU SZEWCZENKI

Uroczystość ku czci T. Szewczenki w Warszawie

Naród ukraiński obchodzi w tym roku, jak wiadomo, 75 rocznicę zgonu swego największego poety, wieszcza narodowego Tarasa Szewczenki. W związku z tem organizowane są we wszystkich ośrodkach życia narodowego ukraińskiego uroczyste obchody i akademje ku jego czci.

W bardzo podniosły sposób uczcił tę wielką rocznicę także i Ukraiński Instytut Naukowy w Warszawie, urządzając w dniu 15 b. m. w auli Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego uroczystą akademję dla polskiej elity kulturalnej. Akademję tę, która stała się wielką manifestacją hołdu sfer intelektualnych stolicy dla wielkiego genjusza bratniego narodu ukraińskiego zaszczycili swoją obecnością Marszałek Senatu płk. A. Prystor, Minister W. R. i O. P. prof. W. Świętosławski, licznie zebrane kolegjum profesorskie Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego oraz cały szereg wybitnych osobistości ze świata urzędowego i społecznego. Obszerna aula uniwersytetu wypełniona była publicznością po brzegi.

Na program akademji, opracowany z dużem wyczuciem zainteresowań audytorjum polskiego, złożyły się: prelekcje dyrektora Ukraińskiego Instytutu Naukowego prof. A. Łotockiego i sekretarza Instytutu prof. R. Smal-Stockiego, pieśni Szewczenki z muzyką kompozytorów ukraińskich, w wykonaniu chóru ukraińskiego pod batutą p. Sołohuba oraz deklamacje przekładów polskich jego poezyj.

Obie prelekcje, wygłoszone na akademji, zawierały wiele materjału ciekawego i nowego. W 75-ą rocznicę zgonu Wielkiego Poety Ukraińskiego warto z ich treścią szerzej zapoznać społeczeństwo polskie. Pierwszy z prelegentów, prof. Łotocki, wygłosił odczyt na temat badań naukowych nad twórczością Szewczenki. Na badaniach tych zaciążyły te same losy, co i na twórczości samego poety. Jakiekolwiek badanie literackie możliwe jest tylko wówczas, gdy badacz rozporządza autentycznym, sprawdzonym i ustalonym dokładnie tekstem wszystkich dzieł twórcy. Tej niezbędnej podstawy do badań nad twórczością Szewczenki, aż doniedawna brakowało. Większość rękopisów poety, skonfiskowana w czasie aresztowania w r. 1847, spoczywała aż do r. 1917 w archiwach policji rosyjskiej w Petersburgu i była oczywiście dla nikogo niedostępna. Reszta pozostająca w posiadaniu osób prywatnych, nie mogła być również wykorzystana dla studjów nad dziełami poety ze względu na to, że twórczość Szewczenki podobnie, jak i cała wogóle twórczość literacka w języku ukraińskim, znajdowała się w Rosji na surowym indeksie. W tych warunkach wydania dzieł Szewczenki, podejmowane zagranicą, w Galicji, musiały z konieczności opierać się na b. zniekształconym przez cenzurę i niepoprawnym wogóle tekście pierwszych wydań dzieł poety, tem samem zaś nie mogły stworzyć dostatecznej podstawy dla badań naukowych nad jego twórczością. Badania takie stały się możliwe dopiero po upadku caratu, gdy rewolucja rosyjska, otwierając archiwa policji carskiej, udostępniła badaczom ukraińskim rękopisy poety, a na budzącej się do życia narodowego Ukrainie rozwinął się żywy ruch naukowy, ogniskujący się w całym szeregu nowokreowanych, ale odrazu sprawnie funkcjonujących, towarzystw naukowych z Wszechukraińską Akademją Nauk na czele. Studja nad Szewczenką, jako nad tym, w którym w czasie niewoli najpełniej, najczyściej i najwspanialej wyraził się duch narodowy ukraiński, rozwinęły się wówczas odrazu na wielką skalę. Powstała cała literatura o nim, która powiększała się z roku na rok. Nie zdołały zahamować jej żywiołowego rozwoju nawet tragiczne wypadki w życiu politycznem narodu: upadek Republiki Ukraińskiej i okupacja bolszewicka. Szewczenkologja podobnie, jak i nauka ukraińska wogóle, rozwijała się dalej we względnie pomyślnych warunkach sowieckiej polityki ukrainizacyjnej, co więcej dokonano nawet próby ukoronowania jej dorobku dotychczasowego przez opublikowanie pierwszego zbiorowego wydania wszystkich dzieł poety. Parę tomów tego wydania już się zdążyło ukazać, gdy polityka sowiecka zawróciła z niepewnych ścieżek ukrainizacji, wkraczając na drogę zdecydowanej walki z przesiąkniętą nacjonalizmem kulturą ukraińską i jej głównym sztandarowym reprezentantem — Szewczenką. Pomnikowe wydanie dzieł zostało przerwane, jako rzekomo wypaczające sylwetkę duchową wieszcza, a on sam zaanektowany został do panteonu prekursorów bolszewizmu — bojowników o wszechrosyjski proletarjat. Zaczyna się nowe cenzurowanie i przykrawanie pism wielkiego poety dla doraźnych celów niewybrednej agitacji politycznej. W tych warunkach ośrodek badań nad Szewczenką przenosi się znów poza granice Rosji, do Polski. Podejmuje je na wielką skalę Ukraiński Instytut Naukowy w Warszawie, przystępując do realizacji udaremnionego przez władze moskiewskie projektu pierwszego pełnego wydania zbiorowego dzieł poety. Okoliczności, w których wydanie to dochodzi do skutku, są nierównie pomyślniejsze, aniżeli te, w których działać musieli wszyscy wydawcy poprzedni. Działalność Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie rozwija się w atmosferze swobody i życzliwości rządu i społeczeństwa polskiego. Rękopisy dzieł poety, jakkolwiek znowu niedostępne, nie stanowią już dla badaczy ukraińskich terra ignota, większość z nich opracowana została krytycznie, a pokaźna część wydana drukiem. Wydanie więc Instytutu Ukraińskiego, wykorzystujące cały obfity dorobek szewczenkoznawstwa ostatniej doby, ma wszelkie dane ku temu, aby nietylko ukazać pisma Szewczenki w tej postaci, jaką nadał im sam twórca, bez zniekształceń i cenzury i błędów pierwodruków, ale też aby równocześnie stworzyć podstawę dla dalszego rozwoju nauki o Szewczence.

Drugi prelegent, prof. R. Smal-Stocki, mówił na temat „Szewczenko i Polacy". Stosunki Szewczenki z Polakami, o których przedtem mało co wiedziano, zostały w ostatnich latach zbadane b. dokładnie. Szczególne zasługi pod tym względem położył uczony lwowski prof. W. Szczurat. Z Polakami zetknął się Szewczenko już w dzieciństwie: Polak Dymowski, rządca jednego z folwarków dziedzica jego Engelhardta, udzielał mu pierwszych nauk. Głębsze jednakże ślady na duchowości poety wywarł dopiero pobyt w Wilnie i w Warszawie (1827 — 1830), dokąd udał się ze swoim panem w charakterze „kozaczka pokojowego", a gdzie pod wpływem miłości (do Polki D. Goszkowskiej) oraz wypadków rewolucyjnych, przeżył głęboki przełom wewnętrzny. Następnym etapem stosunków poety z Polakami był Petersburg, gdzie już jako człowiek wolny, uczeń petersburskiej Akademji Sztuk Pięknych pozostawał w bliskich stosunkach przyjacielskich z młodzieżą polską: braćmi Żukowskimi, Kaniowskim, a zwłaszcza Leonardem Demskim. W tym też czasie zaznaczyły się w jego twórczości poraz pierwszy wyraźne wpływy literatury polskiej i to zarówno poezji (poeci ze szkoły ukraińskiej, potem Mickiewicz i Krasiński), jak i ówczesnej publicystyki politycznej emigracyjnej („Północ", „Polska Chrystusowa"). Zadzierzgnięty w ten sposób węzeł duchowy pomiędzy poetą, a Polską pozostał nienaruszonym przez całe jego życie. Umocnił go jedynie długoletni pobyt poety na zesłaniu, gdzie przebywał wśród wygnańców polskich, pośród których znalazł szczerych i oddanych przyjaciół: Z. Sierakowskiego, ks. Michała Zielonkę i, zwłaszcza, Bronisława Zaleskiego. Wymownem świadectwem tej przyjaźni są listy poety. Ten bliski kontakt poety z duchowością polską miał dla rozwoju jego oblicza ideowego znaczenie decydujące, gdyż wprowadził go do tej atmosfery duchowej, którą żyła i oddychała Europa ówczesna. W ten sposób Polska była jak gdyby pomostem, przez który prądy duchowe Zachodu docierały na Ukrainę. Na ten moment w przemówieniu swojem zwrócił prelegent specjalną uwagę.

Na zakończenie warto dodać kilka słów o samej akademji i o wnioskach z niej płynących. Starannie przemyślany program referatowy i artystyczny uczynił z niej coś więcej, aniżeli zwykłą akademję okolicznościową, których tak dużo odbywa się teraz z rozmaitych powodów. Recytowane poezje wieszcza wzbudziły szczery zachwyt w audytorjum polskiem, które pięknością ich było jakgdyby zaskoczone. Świadczy to o tem, że, doceniając już w zupełności znaczenie Szewczenki, jako wieszcza i wodza duchowego narodu ukraińskiego, nie doceniamy go jeszcze ciągle, jako poety. Dzieje się to, niewątpliwie dlatego, że w bogatym dorobku literatury o Szewczence, brakuje dotychczas prac polskich. Daliśmy się wyprzedzić w tej dziedzinie nietylko Rosjanom, ale nawet Niemcom. Nie posiadamy dotąd żadnej pracy, na podstawie której moglibyśmy ocenić właściwie indywidualność twórczą Szewczenki na tle literatury światowej. Oby to rażące zaniedbanie zostało jaknajrychlej naprawione.

Józef Wasiewicz.

ZAGADNIENIA OŚWIATOWE

W sprawie budowy szkół powszechnych

Istnieją liczby, które smagają uśpione sumienia i zmuszają do czynnej reakcji.

900.000 dzieci w wieku szkolnym nie uczy się czytać, pisać i rachować w państwie, które byt swój oparło na świadomem wypełnianiu obowiązków obywatelskich... Jacy to będą obywatele?! Czternaście tysięcy izb szkolnych trzeba niezwłocznie zbudować dla pomieszczenia tej ogromnej masy dziatwy *pozaszkolnej...* Za jakie pieniądze zbudować te izby?!

Kilkanaście batalionów nauczycieli trzeba natychmiast wysłać na zagrożone pozycje oświatowe... Kto wyekwipuje, wyżywi i zapłaci żołd?!

Trzy tysiące nowych izb szkolnych musimy wybudować rocznie, aby fatalna liczba 900.000 nie wzrosła w ciągu 5 — 6 lat najbliższych do dwu miljonów.

Fala ciemnoty nagromadzona w okresie niewoli i wojny, rozpętana w dobie kryzysu ekonomicznego wzbiera coraz szybciej i grozi coraz gorszemi skutkami.

Już nie trzeba mieć właściwości sejsmografu, aby odczuć bliską chwilę kataklizmu! Nie pomogą w tej chwili ani uczone teorje o hierarchji potrzeb i celów, ani energiczne protesty, ani petycje, memorjały i dyskusje, nie pomogą groźne obrazy malowane z o-

kazji rozgrywek politycznych. Trzeba natomiast *realnych* sił i środków, aby katastrofę *zatrzymać*. Takie realne siły muszą się znaleźć w państwie, które w gorszych chwilach potrafiło uporządkować kolejnictwo, pocztę i inne resorty życia publicznego. Takie realne siły niezawodnie istnieją i na poszczególnych odcinkach skutecznie działają. Chodzi przedewszystkiem o skoncentrowanie tych luźnie i oddzielnie działających elementów, użycie dużego wysiłku samopomocy społecznej, o uzgodnienie i o upowszechnienie świadczeń. Wybitny znawca szkolnictwa polskiego i pedagog, p. Wiktor Ambroziewicz, pisze w ten sposób w broszurze p. t. „44 miljony na budowę szkół powszechnych", o tym odcinku naszego kryzysu oświatowego:

„Niedość podać do publicznej wiadomości, jakie są obecnie nasze zaległości w budownictwie izb szkolnych i ile izb w najbliższym czasie wypadnie wybudować, lecz równocześnie należy rozszerzyć pogląd, że dzisiaj można budować celowo, gruntownie i tanio, że przeciętnie jedną izbę można już mieć za 6.000 zł., a w niektórych dzielnicach nawet znacznie taniej". „Gdziekolwiek zaoszczędzimy 6-8 tys. zł. możemy zbudować jedną izbę i zapewnimy miejsce w szkole, powiedzmy, 65 dzieciom". „Wieś w tej chwili buduje w granicach swych możliwości gospodarczych i rozumie potrzebę budowy izb szkolnych, nie może tylko podjąć na swe barki całego trudu". Przychodzi jej z pomocą Towarzystwo Popierania Budowy Szkół Powszechnych, które czerpie swe fundusze z opłat członkowskich od uczniów, nauczycieli i rodziców, z opłat za świadectwa szkolne i świadectwa absolwentów, z dochodu za znaczki sprzedane przez księgarzy i z dochodów ze zbiórek w ciągu Tygodnia Szkoły Powszechnej. Towarzystwo to udziela gminom długoterminowych kredytów na budowę szkół powszechnych w wysokości 25 — 40 proc. kosztorysu, co w roku ubiegłym przeciętnie wynosiło od 400 do 1 600 zł. na jedną izbę szkolną. Gminy, które łatwiej mogą dać pracę i materjał, aniżeli pieniądze, chętnie korzystają z pożyczek. Realnie rzecz biorąc, mogą gminy zbudować rocznie ok. 2500 do 3000 izb szkolnych i pokryć nietylko zapotrzebowania, związane z przyrostem dziatwy szkolnej, ale jeszcze i ponadto uzupełnić częściowo dotychczasowe braki.

Akcja ta, niewątpliwie bardzo skromna na tle całokształtu spraw państwowych, posiada jednak bardzo duże znaczenie moralne. Przeciwstawia się ona bowiem tym wewnętrznym niepokojom i depresjom, które zagadnienia kryzysu lokalnego przekształcają stopniowo w kryzys oświatowy, grożący załamaniami strukturalnemi.

Ale akcja ta może przynieść pozytywne rezultaty tylko kosztem rezygnacji z bezdusznego doktrynerstwa, które w każdem poczynaniu samopomocowem widzi atak na bezpłatność szkoły powszechnej, *t. j. kosztem 5 groszy miesięcznie od każdego ucznia szkoły powszechnej lub średniej*.

5 groszy składki członkowskiej obowiązującej każdego ucznia w szkole polskiej, 10 gr. składki nauczycielskiej, 500.000 zł. rocznie od członków zwyczajnych, 50.000 zł. od członków dożywotnich, 600.000 za znaczki od księgarzy, 600.000 z dochodów Tygodnia Szkoły Powszechnej, 140.000 z ofiar, imprez, od absolwentów i procentów daje w sumie 4 i pół miljona złotych rocznie, a w ciągu dziesięciu lat 45.000.000, t. j. sumę potrzebną właśnie na wybudowanie brakujących izb szkolnych dla przyrostu. Nagromadzone w ciągu 10 lat pieniądze są w stałym obrocie pożyczkowym i wracają do Towarzystwa, które w 1940 r. będzie mogło zrezygnować z opłat młodzieży i nauczycielstwa i poprzestać na składkach członkowskich, opłatach księgarzy i dochodach z Tygodnia Szkoły Powszechnej. W ten sposób Towarzystwo zamieni się powoli w fundację, która własnym obrotem spełniać będzie nadal pożyteczną pracę budowy nowych izb szkolnych i wymiany złych lub starych na nowe. Pożyczki udzielane gminom na budowę szkół są zwrotne w ratach i wracają w ciągu lat 10, 15 lub 20, zależnie od wysokości pożyczonej sumy.

Plan stworzenia takiej fundacji jest rzeczą realną i znajdzie niezawodnie chętną pomoc całego społeczeństwa.

Ł. K

Z TYGODNIA

Pierwsze żałobne imieniny

Poraz pierwszy dzień 19 marca minął w żałobie, nie będąc już dniem radosnej rewji uczuć i przywiązania narodu do osoby Zmarłego Marszałka. Na życzenie Naczelnego Komitetu ramy obchodów w tym dniu zamknięto do nabożeństw żałobnych i głuchego dźwięku werbli. Miejsce dawnych powszechnych uroczystości zajęły dwie wypowiedzi najwyższych w Państwie czynników: wielka mowa radjowa Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i rozkaz Wodza Naczelnego do armji.

Mowa Pana Prezydenta R. P., transmitowana przez wszystkie rozgłośnie polskie i udostępniona najszerszym masom przez instalację megafonów na placach publicznych, dała obraz prac i wysiłków Marszałka Piłsudskiego w Jego walce o wolną Polskę, o ugruntowanie Jej niepodległego bytu, zbudowanie silnych podstaw państwowych i zapewnienie mocarstwowego stanowiska w rodzinie narodów. Przypomnienie przeszkód i kłód, rzucanych pod nogi Wielkiemu Marszałkowi przez ludzi podłych i małych, ma swoją wielką wymowę w chwili, gdy te same odśrodkowe siły zaczynają znów w Państwie Polskiem głowę podnosić i próbować możliwości zaznaczenia się. Czas rzuca zasłonę zapomnienia na dawne zbrodnie, osłabiając w ten sposób odporność społeczeństwa, które nie może spuścić z oka dzisiejszych form akcji tych samych ciemnych sił, które działały wczoraj.

Armja polska ma jedną tylko, najpiękniejszą, drogę uczczenia swego Zmarłego Twórcy i spłacenia Mu długu wdzięczności. Tę drogę wskazał gen. Rydz - Śmigły w słowach:

„Miejcie ambicję być wyjątkową, wspaniałą armją!

Kierując się tą piękną ambicją w pełnieniu obowiązków żołnierskiego dnia — wywiążemy się najgodniej z długu wdzięczności dla Marszałka za sławę zwycięstwa. *A sztandar wojskowy stanie się nieomylnym drogowskazem dla państwowej myśli całego społeczeństwa"*.

Cofające się sztandary

W ubiegłą niedzielę odbyło się posiedzenie Rady Naczelnej Stronnictwa Ludowego. Celem organizatorów było nadanie temu zjazdowi cech wielkiej manifestacji politycznej — związano ją bowiem z przypadającą właśnie piątą rocznicę zjednoczenia trzech stronnictw ludowych (Piast, Wyzwolenie, Stronnictwo Chłopskie).

Efekt zjazdu był jednak nadspodziewanie skromny, a podjęte rezolucje świadczą o zupełnym braku rozmachu twórczego i programowego u kierowników Stronnictwa; nastroje zaś są aż nadto wyraźnie minorowe.

Wprawdzie zarówno p. Thugutt w swoim liście do zjazdu, jak i p. Rataj w generalnem przemówieniu, stwierdzają „masowy ruch i wzrost jednolitego Stronnictwa Ludowego na terenie całej Polski", całość obrad jednak — a zwłaszcza dyskusja — daje raczej przekonanie o upadku i nieprzenikaniu w masy ludowe haseł Stronnictwa.

Charakterystycznem jest, że tak wiele nacisku położono na stwierdzanie samodzielności ruchu ludowego i bardzo energicznego odżegnywania się przed podejrzeniami ulegania wpływom innych organizacyj politycznych, a nawet organizacyj robotniczych. W dyskusji natomiast każdy z przemawiających proponował inny objekt współpracy; byli tacy, którzy proponowali pójście na „front ludowy", inni chcieli nawiązać współpracę z socjalistami w odpowiedzi na faszystowską robotę endecji, inni wreszcie żądali współpracy z tą właśnie endecją.

Całość dała obraz marazmu, opanowującego doły Stronnictwa, a skromniutkie projekty na przyszłość wskazują na zupełny brak podstaw organizacyjnych w terenie.

Ubój rytualny

Nie powinno było leżeć w intencjach projektodawców wprowadzenie zagadnienia zniesienia uboju rytualnego w taką atmosferę. Sytuacja wygląda dziś tak, że wszystkie istotne zagadnienia życia państwowego i gospodarczego usunęły się w cień, a wyobraźnię szerokich mas pochłania jedna tylko sprawa: dalsze losy projektu i gwałtowne dyskusje teologiczne na temat „nervus ischiaticus".

Psychoza jest bardzo silna, a fakt, że ulegają jej w dużym stopniu także niektórzy posłowie, wskazuje na stopień zaognienia. Nie tłumaczy to całkowicie zachowania niektórych posłów; od posła bowiem musimy wymagać takiego przynajmniej opanowania nerwów, by nie ulegał histerycznym atakom.

Ogólnie przypisuje się temu zagadnieniu pewne polityczne podłoże. Na platformie oderwanych dyskusyj nad sprawą uboju — dokonuje się poważne starcie pomiędzy rządem a tymi elementami nowego Sejmu, które w stosunku do obecnego Rządu... mają zastrzeżenia. Z toku dyskusji wynika to aż nadto wyraźnie. Wynika to również z „kawaleryjskiego" wystąpienia posła Dudzińskiego, jak i z obaw posłanki Prystorowej, by Sejm nie był „skromnym funkcjonarjuszem Rządu".

W atmosferze ogólnego podrażnienia i egzaltacji niesmacznie wypadło p łne temperamentu przemówienie posła Dudzińskiego, który zastrzegając się przed zarzutem utrudniania prac Rządowi, demonstrował swoje niezadowolenie wobec zgłoszonych poprawek Rządu, zrzekając się referatu — a wreszcie powiedział: „nie kandyduję na ministra, ale gdybym nim kiedy został, to ten nieszczery jęk żydowski, który się w tej chwili rozlega — zmieniłby się w prawdziwy lament". Czy potrzebna była ta licytacja?

Ostatecznie stanowisko Rządu znalazło mimo rozpętanych nastrojów, widoczne zrozumienie u wielkiej liczby posłów, skoro w głosowaniu za poprawkami rządowemi oświadczyła się większość Sejmu. Dwie poprawki Rządu przyjęto 97 głosami przeciw 75, trzecią 84 głosami przeciw 77.

„Bo dziś już nie tak — bo dziś inaczej..."

P. Cat - Mackiewicz od dłuższego czasu trudzi się rozdawaniem swoich cennych rad. Słusznie przytem zauważa, że nikt ich nie słucha i nie usłucha. Zamiast zatem skończyć bezproduktywne wysiłki, próbuje wciąż na nowo, jak ten niefortunny wynalazca, który przychodzi do urzędu patentowego z tysiącznym z rzędu wynalazkiem — a nuż który uszczęśliwi ludzkość?

Poza p. Cata jest wcale, wcale.. Przemawia, jak z wysokich koturnów, nie bacząc na to, że jego „Słowo" conajwyżej za jaśniepański podnóżek uchodzić jeszcze może.

P. Cat uważa (*„Słowo"*, nr. 79), że *„dziennikarz ma prawo do wszystkiego, nawet do dawania rad premjerowi"*, a podobno dzieją się rzeczy skandaliczne i trzeba to i owo wyłknąć p premjerowi!

Najbardziej p. Cata rozgniewała mowa p. wojewody Grażyńskiego na zjeździe N. Ch. Z. P. w Katowicach. Tak mówić nie godzi się wojewodzie, który — zdaniem p. Cata — nie może wygłaszać „exposé o tem, jakie jest położenie Polski i co trzeba robić", bo to jest już exposé ministerjalne! Kult kompetencji jest — widać — u p. Cata bardzo silny, zwłaszcza gdy „expose" p. wojewody różni się tak jaskrawo od poglądów... „Słowa".

Żebyż skończyło się na wypomnieniu wojewódzińskiej niewłaściwości! P. Cat daje jednak przy okazji ojcowskie napomnienie premjerowi, że to jest *„rozprężenie* (rozprzężenie chyba — dop. red.) *administracji"* i że *„należy powstrzymać parcelowanie Polski pomiędzy malje..."* A podobno „expose" p. wojewody Grażyńskiego — to właśnie *„skutek tej parcelacji wpływów politycznych, mocą których wyraźnie dwa województwa, to jest śląskie i wileńskie oddano naprawiaczom"*. — Siła złego na jednego, ale już to „naprawiacze" mają szczęście do p. Cata, który jak złowieszcza (i obłąkana!) Kassandra szaty rozdziera nad niebezpieczeństwem, grożącem ze strony wszechmocnej i niezmierzonej potęgi naprawiaczy .. (czyżby ta potęga była silniejsza od doniedawna sławionej „wrośniętej tysiącznemi korzeniami w

polski organizm" potęgi konserwatystów?)

Dowiadujemy się wreszcie, na czem to niebezpieczeństwo naprawiackie polega. Oto ci właśnie niecni naprawiacze wraz z premjerem Kościałkowskim pragną reformy rolnej. Ponieważ oni wszystko mogą, p. Cat próbuje „po dobremu" wytłumaczyć im, że:

„Parcelacja owych 1.300 tys. hektarów, t. j. przestrzeni względnie już bardzo małej (lasy państw. liczą 3.000 tys. hekt.) nic nie zmieni w stosunkach wewnętrznych w Polsce, w kryzysie, biedzie..."

Tu więc leży pogrzebany piasek i tu się rodzą obawy p. Cata co do przyszłego losu społeczności... właścicieli owych 1.300 tys. hektarów.

Tak więc ostatnia rada p. Cata wskazuje na konieczność przywrócenia rządowi *„dwustronnego, prawicowo-lewicowego charakteru"*, obecnie bowiem premjer Kościałkowski szuka oparcia *„tylko w jednej części społeczeństwa, tylko w jego lewicowej połowie"*.

Ażeby usunąć wszelkie wątpliwości, p. Cat wyjaśnia jeszcze, że te rady mają na celu tylko poprawienie nadmiernych jaskrawości zła. Bo gdyby na czoło rządu wrócił pułk. Sławek — to wtedy byłoby zupełnie inaczej! Ponieważ jednak premjer Kościałkowski nie chce realizować projektów pułk. Sławka — niechby chociaż przywrócił gabinetowi równowagę społeczną: jeden z lewa, jeden z prawa..

PRZEGLĄD PRASY

Głosy różne o sprawie uboju

O wykorzystaniu dyskusji nad projektem o zniesieniu uboju rytualnego dla celów politycznych mówi *„Kurjer Poznański"*, stwierdzając, że jest to niezwykły wypadek wysunięcia projektu w Sejmie bez uprzedniego porozumienia z czynnikami rządowemi:

> *„Nawet w ultraparlamentarnych stosunkach posłowie, popierający rząd, nie zgłaszają wniosków — szczególnie w sprawach ważnych, a taką jest chyba zniesienie uboju rytualnego — bez uprzedniego porozumienia się z rządem".*

Jeżeli nawet ten brak porozumienia był wynikiem niedoświadczenia wnioskodawców — to, zdaniem „Kurjera Poznańskiego", przemówienie posła Dudzińskiego dobitnie wskazuje na zakryte, polityczne kulisy tej sprawy:

> *„...okazało się, że i ten Sejm obciążony jest „chorobą" polityczną, tem niebezpieczniejszą, że ukrytą głęboko w jego wnętrzu, a więc trudną do zbadania i kontrolowania. Niema klubów, ale mówi się o jakichś „maljach". Niema otwartej walki z rządem, ale daje się wyraz zgorszeniu z powodu „rzucania rządowi kłód pod nogi..."*

„Polska Zbrojna" w rozdymaniu sprawy do niebywałych granic widzi mało poważne i nierzeczowe zacietrzewienie, które atakuje ostro tem więcej, że zagadnienie wymaga spokojnego i rzetelnego oświetlenia z wielu punktów.

> *„Jak to zagadnienie wymagające niewątpliwie objektywnej oceny w myśl interesów ludności wkracza na tory subjektywne, świadczy zarzut pos. Prystorowej, iż Sejm podporządkowuje się woli rządu. Czy byłoby lepiej, gdyby Sejm podporządkowywał się poglądom p. Prystorowej?*
>
> *...subjektywizm pos. Dudzińskiego zapanował nad objektywizmem referenta komisji.*
>
> *...sprawa uboju rytualnego niepotrzebnie została rozdęta do rozmiarów jakiegoś „pryncypialnego" zagadnienia".*

Wysuwanie pobudek humanitarnych, jako zasadniczego motywu akcji antyubojowej, podchwytywane skwapliwie przez prasę endecką — atakuje Antoni Słonimski w *„Wiadomościach Literackich"*:

> *„...powoływanie się na humanitaryzm obowiązuje. Możnaby przypomnieć pismom enedeckim, rozgrzeszającym wszystkie obrzydliwości uniwersyteckich awantur, że humanitaryzm nie powinien kończyć się na stosunku do konia, czy wołu. Krajanie ludzi żyletkami po twarzy, bicie do krwi, znęcanie się nad słabszymi i nad kobietami — czyż daje prawo do występowania w imię humanitaryzmu? Jeśli chodzi o stosunek do zwierząt, humanitaryzm nie wywołuje sprzeciwu — przynajmniej teoretycznego. Oczywiście człowiek, który znęca się nad zwierzęciem, jest barbarzyńcą, ale gdy znęca się nad człowiekiem, dorabia sobie do tego mistycyzm narodowy, albo inną dowolną i wystarczającą mętną doktrynę".*

Cicha konfiskata listu pasterskiego

Tych wszystkich, którzy żądali wypowiedzenia się oficjalnych czynników katolickich wobec ekscesów antyżydowskich, dokonywanych pod firmą ruchu narodowego i katolickiego, zadowolił zapewne w zupełności list pasterski prymasa Hlonda, który w sposób bardzo ostry potępia brutalne przejawy kampanji antysemickiej:

> *„Przestrzegam przed importowaną z zagranicy postawą etyczną, zasadniczo i bezwzględnie anty-żydowską. Jest ona niezgodna z etyką katolicką. Wolno swój naród więcej kochać, nie wolno nienawidzieć.*
>
> *..Miejcie się na baczności przed tymi, którzy do gwałtów antyżydowskich judzą; służą oni złej sprawie. Czy wiecie, kto im tak każe? Czy wiecie, komu na tych rozruchach zależy? Dobra sprawa nic na tych nierozważnych czynach nie zyskuje".*

W związku z tem *„Robotnik"* zwraca uwagę, że te właśnie ustępy listu pasterskiego, omawiające kwestję ekscesów antyżydowskich zostały w wielu pismach „katolicko — narodowych" zupełnie opuszczone. Konfiskata bardzo znamienna!

Pyta więc *„Robotnik"*:

> *„Czy to nie charakterystyczne? Wspaniali są ci „wierni katolicy" z... zastrzeżeniami co do kwestji żydowskiej!..."*

Inne djagnozy

P. Cat lamentuje nad „katastrofą" wyłącznie jednokierunkowego charakteru rządu — a tymczasem p. Roman Rybarski (*„Kurjer Poznański"*, nr. 135) uważa, że katastrofą grożą sprzeczności w obozie rządowym. Sprzeczności te — zdaniem jego — sięgają głęboko:

> *„sięgają bowiem istotnych podstaw polityki gospodarczej, co więcej, nawet podstaw ustroju społeczno - gospodarczego. To nie blok jednolity, zwarty, ale cały wachlarz najrozmaitszych poglądów i programów, obejmujących najbardziej nawet skrajne tendencje. Niema w tem wszystkiem spokoju, a jest ferment; niema jednolitości, lecz jest różnorodność".*

Wobec tej różnorodności poglądów na sprawy zasadnicze, narażona jest na niebezpieczeństwo ciągłość pracy, zachodzi możliwość ciągłych zmian w systemie rządzenia w zależności od personalnych fluktuacyj.

„Robotnik" podobnie ujmuje sprawę:

> *„Zwłaszcza jeśli chodzi o poglądy gospodarcze i społeczne, to obóz „sanacyjny", pozbawiony organizacji, lecz przysięgający na „ideologję" i na „Wielkie Imię", przedstawia sobą najbardziej pstrokatą mozajkę. Są tam zdecydowani obrońcy kapitalizmu i gorliwi jego przeciwnicy; są etatyści, pół-etatyści i anty-etatyści, czyli najczystszej wody liberałowie gospodarczy; są deflacjoniści i anty-deflacjoniści; jest kierunek „pułkownikowskiej" polityki gospodarczej, reprezentowany w Senacie przez p. Kozłowskiego, który, jako premjer, oświadczył był, że on nie może się mylić, i dzisiaj jeszcze jest przekonany, że się nie mylił, podczas gdy min. Kwiatkowski wykazuje raz po raz, że gospodarka p. Kozłowskiego była nietylko jedną wielką pomyłką, lecz także nieszczęściem; ale i w rządzie obecnym ścierają się hasła, które — zdaniem naszem — pogodzić się nie dadzą: nie można bowiem w dzisiejszych czasach głosić: chleba i pracy dla wszystkich, a jednocześnie niech żyje inicjatywa prywatna i rentowność przedsiębiorstw i — deflacja".*

Najgorszem jest jednak to, że *„rząd obecny hołduje zasadzie „złotego środka", pragnie być wykładnikiem wykluczających się pogodzić sprzeczności i zwalczających się wzajemnie sił"*.

W takiej sytuacji kompromis tego rodzaju sprzyja powstawaniu fermentów:

> *„Fermenty takie dojrzewają w tempie szybkiem. Zwłaszcza na lewicy „sanacyjnej", grupującej element pracowniczy i szczerze legjonowy, fermenty są już ostre. Świadectwem tego było zachowanie się „sanacyjnych" organizacji pracowniczych na niedawnych zjazdach i w czasie ostatnich strajków robotniczych, świadczy też o tem prasa tych elementów lewo-„sanacyjnych", niektóre wystąpienia posłów, a zwłaszcza senatorów".*

WŚRÓD KSIĄŻEK

DR. LEWAK: „DZIEJE EMIGRACJI POLSKIEJ W TURCJI", Warszawa, 1935.

Polska niepodległa rozpoczyna zbierać rozproszony po szerokim świecie dorobek swych synów. Od czasów rozbiorów jednostki najwartościowsze, buntujące się przeciw jarzmu i hańbie, zmuszone były wielokrotnie opuszczać bezpośredni plac boju, ale i poza granicami nie ustawały w walce. Toczyły ją, zwłaszcza z Rosją, na rozmaitych polach i w różnych stronach Europy. Jednym z najwdzięczniejszych terenów, gdzie prace polityków, techników i żołnierzy dały widome rezultaty — była Turcja.

Dr. Lewak w swej książce: „Dzieje Emigracji polskiej w Turcji 1831—78", wydanej niedawno, zamknął ogromny szmat czasu: od powstania listopadowego po kongres berliński. Są to rzeczy przeważnie nieznane, względnie opracowane tylko w fragmentach, jak np. udział Polaków w walkach na Kaukazie przez dr. L. Widerszala.

Dr. Lewak zaznaczył na wstępie, że temat zbyt był obszerny, by go wyczerpała jedna książka i że często ograniczał się do samego przedstawienia faktów, do wysunięcia zagadnień i postawienia tez. Istotnie ogrom materjału zaciemnił perspektywy i zatarł siłę natężenia w oświetlaniu ważnych zdarzeń obok pomniejszych.

Praca nie straciłaby na usunięciu niektórych szczegółów, takich np., jak to, że wysłannik Rządu Narodowego w Warszawie, Waldorff Wolicki, gdy 11 lipca 1831 opuścił Stambuł, zachorował na cholerę i w r. 1832 znalazł się we Francji. Zato nie jest pełny obraz prac polskich w Serbji i Bułgarji.

Nieporozumieniem też jest chyba sprowadzenie do Stambułu w czasie wojny wschodniej Klaczki, który, o ile mi wiadomo, nigdy w Turcji nie był. Natomiast był Walerjan Kalinka, który swemi nietaktami i zarozumiałością niemało krwi popsuł, łącznie ze swym szefem Zamojskim, zgromadzonym w Stambule Polakom.

Trwałą zasługą dr. Lewaka będzie postawienie przed nasze oczy konsekwentnie przez szereg lat utrzymanej jednolitej linji politycznej: wrogiej Rosji, a życzliwej Turcji, oraz ogromu prac wykonanych przez polskich emigrantów od X. Adama Czartoryskiego, po Zygmunta Miłkowskiego, na Bliskim Wschodzie Europy.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Czackiego 11 m. 1, tel. 633-55 ● CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10 — 11, środy godz. 17 — 18. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Sekretarz Redakcji i Redaktor odpowiedzialny: Adam Andrzejewski

Druk. „KADRA", Warszawa, Długa 50, tel. 11-86-30. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.